№ 13. Warszawa, dnia 27 (15) Marca 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. 10

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański **Nr. 7.**
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

Do dzisiejszego numeru dołączamy pierwszy zeszyt **Logiki** Liarda. W kwartale następnym abonenci nasi otrzymają dodatek znacznie powiększony, który z obecnym stanowić będzie całość tej książki.

POLITYKA.

UWIEŃCZONE DZIEŁO.

Mimo wytrwałego przywiązania do katolicyzmu i jego Głowy, dawna Polska rodziła od czasu do czasu ludzi i to zajmujących wysokie stanowiska, którzy umieli buntować się bądź przeciwko dogmatom, bądź przeciwko zarządowi kościoła. Byli to wszakże naprzód ludzie wielkiego kalibru, a powtóre działali w czasach, w których religia i polityka nie były siostrami z sobą zrosłemi i mającemi wiele organów wspólnych. Dziś nie posiadamy ani takich bohaterów, ani takich warunków; dziś kościół polski posiada mniej lub więcej zdolnych urzędników papieskich, politycy głowami po nad las swego społeczeństwa nie wyrośli, a nadto religia stała się środkiem praktycznym, orężem walki o byt. Każdy z odłamów naszego narodu przedstawia w powiększonej mierze obraz niemieckiego stronnictwa centrum, w którem ludzie najsprzeczniejszych, często bardzo radykalnych przekonań łączą się na gruncie katolicyzmu, dającego im mocne oparcie. Pomijając dość szczupłą garstkę marzycieli lub narwańców, którzy żadnych względów praktycznych, najrozumniejszego oportunizmu uznać nie chcą, wszyscy inni godzą się na to, że owo oparcie oddało nam niejedną ważną usługę. W tej zgodzie tkwi pozorna lub rzeczywista uległość dla wyroków i rozporządzeń Stolicy apostolskiej. Ale nawet z interesu lub przekonania płynąca poddańczość ma swoje granice, po za które rozciągnąć się nie może i pękać zaczyna, a taką granicą przywiązania polaków do tronu papieskiego jest ów punkt zrośnięcia się religii z polityką.

Jakkolwiek kard. Ledóchowski, żegnając się ze swemi owieczkami i zalecając im nowego „duszpasterza," powiedział w liście swoim: "zaufajcie mu bo on z ręki ojca św. pochodzi," nominacya ks. Dindera na arcybiskupa poznańskiego była nietylko bardzo zimnym prysznicem dla inteligencyi katolicko-polskiej, ale nawet wywołała niezadowolenie śród ludu. Zacierano tę niechęć rozmaitymi sposobami: pogłoskami o ukrytym polonizmie nowego dostojnika, wiadomością, że zaprenumerował sobie kilka pism warszawskich, itp., ostatecznie wszakże pomimo tych zobojętniających odczynników w każdej duszy pozostał kwas, coraz bardziej dobywający się na wierzch. Nareszcie wypłynął pod postacią zbiorowej prośby wiernych poznańczyków do papieża o — cofnięcie Dindera. Że prośba ta trysnęła ze źródeł głębokiej naiwności — dowodzić nie potrzeba. Leon XIII zdecydował się na krok tak ważny, obmyślił go należycie i wszechstronnie, a nie po to go zrobił, ażeby zaraz miał cofać. Jakie ma przytem rachuby, odgadywać nie będziemy, dość, że dlań dziś więcej warta przyjaźń jednego Bismarka, niż 2½ miliona polaków pruskich, a nawet 12 milionów wszystkich. Kto więc spodziewał się, że deputacya wysłana z ową prośbą osiągnie swój cel, ten widocznie rozwiódł swój rozum z wszelką logiką.

Jakoż papieski „sekretarz stanu" (ma takiego dygnitarza namiestnik Chrystusa) przyjął naiwne grono bardzo cierpko i wyraził zdziwienie nad tem nieposłuszeństwem względem Ojca św. Ze swego stanowiska miał on zupełną słuszność, bo Ojciec święty nie po to jest „nieomylnym," ażeby jego wyroki miały być poprawiane i zmieniane przez zwykłych śmiertelników z nad Warty, niemających bezpośredniej styczności z duchem św. Pewna część wszakże prasy poznańskiej chce być bardziej katolicką, niż sam papież i jego „sekretarz stanu." Mianowicie *Kuryer poznański*, natarłszy uszu krnąbrnym owieczkom, które nie chciały za nim przeskoczyć przez nadstawiony kij, wzywa je do wysłania innej deputacyi, któraby poniosła Ojcu ś. oświadczenie zupełnej uległości i zadowolenia z ks. Dindera. No, już chyba to służalstwo jest całkiem niepotrzebne i wprost wstrętne. Pojmujemy jeszcze ludzi, którzy nieszczęście przyjmują bez szemrania, ale takich, którzyby za nie dziękowali, już zrozumieć trudno. Na to potrzeba albo umieć bezczelnie kłamać, albo wyzuć się z wszelkich szlachetniejszych uczuć.

Zastrzegliśmy wyżej, że żaden polityk polski, bez względu na swe osobiste przekonania, nie może lekceważyć ani katolicyzmu, ani jego Głowy, jako dźwigni praktycznej, jako broni w walce o byt; ale *Kuryer poznański* apostołuje jakąś politykę niewolniczego upodlenia, nieliczącego się z niczem, prócz z warunkami wiernej służby. Papież wraz z całą swą świętością i nieomylnością jest również człowiekiem, a jako człowiek, nie może on szanować i cenić ludzi, którzy każdej chwili gotowi są położyć swe głowy w prochu pod jego stopami, ludzi bez godności, bez zasad, bez własnej krwi, mózgu, serca — lalki trocinami wypchane ze stałym na twarzy uśmiechem. *Kuryerowi poznańskiemu* zdaje się, że on jest konsekwentnym; nie zaprzeczamy

mu tego, ale dodać musimy, że jest to konsekwencya, która już doszła do swego absurdu.

Jakże inaczej zachowuje się wobec rozporządzeń papieża również mu uległa katolicka prasa niemiecka! Gdy biskup Fuldy Kopp złożył w Izbie panów swoje znane oświadczenie w przedmiocie germanizacyi, dzienniki klerykalne, które z pobudek faktycznych nie chciały go zganić, zamilczały zupełnie o tem wystąpieniu, inne znowu, swobodniejsze w swych sądach, dały mu bardzo ostrą naukę. Tymczasem *Kuryer poznański* i jego zwolennicy posunęli swoją służbistość do tego punktu, w którym znika zupełnie własna wola, a poczucie dobra zlewa się z chęcią spełnienia rozkazu.

NAUKA A KOLONIZACYA.

Przed laty trzema zabrzmiało w Niemczech nowe hasło: „Drang nach Kolonien!“ I słowo stało się wkrótce ciałem, gdyż sztandar niemiecki nie omieszkał stwierdzić wszechmocy swej pożogami w Afryce, cywilizacya zaś pruska — wysłać dotąd w jednym tylko roku 1884 aż za 12 milionów marek wódki (w liczbie ogólnej 30 milionów marek wywozu do Afryki). Jednocześnie z niemcami zaawanturowały się w Afryce Włochy: przypadkowo zajęły jedną osadę, jakżeż więc było niezająć drugiej i trzeciej i dziesiątej? Malutka znów Belgia stwarza „królestwo“ Kongo, współobywateli swych nowych darząc świecidełkami szklanemi. Kiedy trzy te państwa poczynają dopiero swe debiuty na polu polityki kolonialnej, natomiast w krajach, z dawien dawna ją uprawiających, przybrała ona rozmiary niezwykłe, stanowiąc niby ognisko całej polityki państwowej. Dość wskazać na Francyę i Anglię, na różne sprawy tonkińskie i sudańskie.

W ruchu tym widzimy dwie przyczyny. Z jednej strony idzie o uzyskanie rynków nowych, z drugiej zaś o utrzymanie wychodźców w związku z krajem ojczystym. Wzgląd ów ostatni przeważa zwłaszcza w Niemczech, tembardziej, że wychodźca chwili ostatniej — to człowiek, który udaje się za morze nie na krótko, lecz na stałe. Nie jest to ów bohater Coopera, awanturniczy, na pół zdziczały, lecz spokojny chłop westfalski, myślący o takim samym, jak wśród wioski rodzinnej, trybie życia. Chodzi więc w tej sprawie o aklimatyzacyę stałą pod obcem niebem. Wobec tego prądu i wobec gromadzącego się z dniem każdym materyału faktycznego wytworzyły się nowe gałęzie umiejętności, przedewszystkiem zaś *geografia medyczna* — nauka zaledwie lat kilka wieku licząca, której ojcami są we Francyi Bordier, w Niemczech Hirsch. Nosi ona na sobie piętno swego powstania: wszystkie bowiem jej siły są ku temu skierowane, by zbadać zasady kolonizacyi. Wiadomo, jakie sumy łożyła Francya dla zaaklimatyzowania osadników francuskich w Algierze — a wszystko napróżno. W położeniu takiem znajdują się pono Niemcy wobec podbojów afrykańskich. Nauka więc ma wskazać, *gdzie* i *z jakim* skutkiem może się rasa pewna osiedlać. Zastosowanie to uczynił już dla francuzów z geografii medycznej Bordier w najświeższem swem dziele: *Kolonizacya naukowa*. Wreszcie sprawa ta wywołała na jednem z przeszłorocznych posiedzeń berlińskiego towarzystwa antropologicznego żywe obrady, czemu dziwić się nie potrzebujemy wobec prądu kolonizacyjnego w Niemczech. Na szerszą zwłaszcza wzmiankę zasługuje przemówienie Virchowa, w którem antropolog ów starał się odpowiedzieć na dwa pytania, z których jedno dotyczyło aklimatyzacyi jednostki, drugie — aklimatyzacyi rasy. Są bowiem okolice, gdzie lubo jednostka wyżyć może, traci wszelakoż zdolność rozpłodczą; tak np. europejczycy — zdawało się — zdolni są do aklimatyzacyi na Antyllach, okazało się jednak, że wymierali już w trzeciem pokoleniu. Virchow wyraził swe pytania tak: a) przy jakich warunkach jednostka może stawiać opór wpływom klimatu obcego, zachowując przytem zdolność do pracy? b) o ile może osiedlić się na stałe i dochować potomstwa? Odpowiedź na pytania te odmienną być musi dla ras różnych. Są bowiem miejsca, gdzie rasa jedna nie może się utrzymać przy życiu, wówczas gdy inna przystosowywa się z łatwością. Są znowu takie, gdzie rasa ta wyżyć może, lecz traci siłę mięśni, staje się ociężałą. Wreszcie człowiek może być zdolnym do pracy, lecz nie zostawia potomstwa. Jako ilustracyę bierze Virchow rasę białą, wymierającą na Antyllach, kiedy tymczasem murzyni mnożą się tam szybko. Nawet szczepy odrębne tej samej rasy niejednakową pod tym względem posiadają odporną siłę. Wśród rasy białej aryjczycy nie kolonizują się tak łatwo, jak aramejczycy (semici); a nawet wśród aryjczyków jedne ludy mniej, inne więcej są zdolne. Kiedy niemcy, anglicy, francuzi nie mogą zaaklimatyzować się w Algierze, tymczasem mieszkańcy Malty, hiszpanie i włosi (z południa zwłaszcza) przystosowują się z łatwością.

Oto pytania — powiada Virchow — na jakie warto byłoby odpowiedzieć, zanim powzięty został w kraju naszym zamiar kolonizacyi. Nauka bowiem winna kierować polityką kolonialną, ostrzegając państwo przed zatratą bezowocną kapitałów i ludzi. Ona więc zaczyna się dopominać o prawo kierowania bezmyślną dotychczas polityką kolonialno-emigracyjną i ślepo idącym prądem wychodztwa. Jest to jeden z owych licznych objawów stulecia naszego, dążących do tego, by nieświadomym siłom i prądom społecznym przewodniczyła świadoma celu swego i dróg myśl ludzka.

K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozruchy anarchiczne przeniosły się na ląd stały a widownią ich w zeszłym tygodniu było miasto Liège w Belgii. Powtórzyły się tu sceny, znane z opisów zaburzeń w Londynie, Birminghamie i Manchesterze. W sąsiednich miejscowościach fabrycznych robotnicy powstali również, ruch bardzo prędko został wprawdzie stłumionym, zasługuje on wszakże na baczną uwagę, nie z powodu rozmiarów swych i następstw, ale jako znaczący objaw dążeń klasy robotniczej w zachodniej Europie. W Anglii były także próby wywołania rozruchów i agitatorzy londyńscy Hyndman i Burns prowadzą jawnie propagandę rewolucyjną w miastach fabrycznych. W Paryżu natomiast rocznica komuny przeszła zupełnie spokojnie.

Dyplomacya dotychczas nie potrafiła usunąć oporu księcia bułgarskiego; stoi on wytrwale przy poprzedniem oświadczeniu, zgodnem zresztą z pierwotną treścią ugody. Zresztą gotów jest przystać na pięcioletnie rządy w Rumelii, ale wtedy tylko, jeżeli mianowanie jego zależnem będzie nie od mocarstw lecz od sułtana. Opór ten niecierpliwi przedstawicieli niektórych mocarstw — nic jednak poradzić z nim nie mogą. Tymczasem w księstwie i Rumelii

---

POEZYA.

ŻYDZI

przez

Wiktora Gomulickiego.

Chór.

Rozproszony, jako chmura piasku,
Na atomy rozbita orkanem,
Dni swe wlecze bez szczęścia i blasku
Naród, ongi najpierwszy przed Panem.
Wszędy krótką przebywa gościną,
U cudzego grzejąc się ogniska—
Mąż nań każdy plwa pogardy śliną,
Każde dziecię kamieniem nań ciska!

Głos pierwszy.

Niechaj będzie przeklęty!
Niech go piekło pochłonie!
Najgorsze życia męty
Osiadły w jego łonie!
Pokorę nosi w twarzy,
Gdy goni za korzyścią,
Lecz oko mu się żarzy
Tajoną nienawiścią.
Strzeż się, gdy go u nogi
Ujrzysz w prochu, jak żmiję —
Gdy się pozbędzie trwogi,
Żądło ci w serce wbije!

Głos drugi.

Próżno dla niego słońce i wiosna
Zmieniają łąki w kobierce,
W dziewiczych piersiach pora miłosna
Próżno przebudza serce;
Ni skarb miłości, ni czar przyrody
Nie znęcą go swą pieszczotą —
Pieniężne tylko czuje on głody,
A słońcem dla niego — złoto!

Głos trzeci.

Ludzkość, wśród zdarzeń fali,
Ciągle się doskonali
W formach i duchu —
A on, ufny w swe prawa,
Zastygnąwszy jak lawa,
Drzemie w bezruchu.
Gdy losów burza wrząca
Ludy ze świata strąca,
Jak kwiat z ogrodów,
Nieśmiertelnym się czyni
Ten sfinks wschodniej pustyni!
Mumia narodów!

Chór.

Cóż dostatki! cóż zmysłów wygoda!
Gdy paryasem naród i sierotą!
Martwy klejnot wesela nie doda,
Nie ogrzeje, chociaż świeci, złoto.
O narodzie z oczyma łzawemi,
Co swój żywot wleczesz w poniewierce,
Choćbyś posiadł całą rozkosz ziemi,
Robak smutku będzie gryzł twe serce!

Mściciele Boga.

Chrystus ze spiekłą wargą,
Z obwisłemi ramiony,
Skarży się cichą skargą:
„Czyż nie będę pomszczony?“...
Jęk Zbawcy słyszą wierni
I świętym gniewem płoną —
„Ach! za koronę z cierni,
Ognia płaćmy koroną!“
Wyrok spełnić wypada;
Drżyjcie, izraelczyki —
Oto dla was biesiada:
Stosy, miecze i stryki!
Jak psy zabite trwogą,
Niechaj giną oprawcy! —

partya konserwatywna, przychylna Rosyi podnosi głowę i wódz opozycyi Cankow rozsyła po kraju coraz to nowe listy otwarte. Ostatnie wiadomości wskazują jednak, że Karawełow energicznie wziął się do poskromienia żywiołów niesfornych, kilkunastu agitatorów aresztowano i zawieszono wydawnictwo wszystkich prawie pism opozycyjnych.

Gladstonowi nie udało się skłonić Chamberlaina i Trevelyana do zaniechania opozycyi w sprawie irlandzkiej. Trudno zrozumieć doprawdy powody, które mogą nakazać Chamberlainowi, jednemu z wybitniejszych przywódców stronnictwa radykalnego, występować przeciw projektowi wywłaszczenia landlordów. Na utworzenie bowiem parlamentu zgadza się on zupełnie. Inny radykał angielski Labouchère występuje również przeciw reformie rolnej. Jedynym prawie argumentem oporu jest twierdzenie gołosłowne, że projekty Gladstona są niebezpieczne i ryzykowne.

Komisya Izby panów sejmu pruskiego przygotowała już projekt prawodawstwa kościelnego. Nowa ustawa zawiera znaczne ustępstwa dla duchowieństwa, ale ma jeden paragraf głoszący, że biskupi lub księża, którzy jawnie przekraczają prawo i opierają się rozporządzeniom władzy, mogą być usunięci z urzędu przez postanowienie królewskie. Wskutek zamieszczenia tego artykułu biskup Kopp i jego stronnicy powstrzymali się od głosowania. Obecnie donoszą, że sprawa ta będzie załatwiona w drodze wzajemnych ustępstw. W komisyi sejmowej większość oświadczyła się za ustawą kolonizacyjną w redakcyi rządowej, poczem członkowie tej komisyi polacy założyli protest i opuścili posiedzenie. Natomiast w komisyi roztrząsającej projekt szkolny, nawet większość rządowa uznaje potrzebę pewnych zmian, mianowicie pozostawienia gminom udziału w mianowaniu nauczycieli. Monopolowi wódczanemu rząd dał już za wygranę — ale za to podniesioną będzie znacznie akcyza od spirytusu. W Berlinie odbyły się w tych dniach wielkie zebrania socyalistyczne, na których przyszło do bójki między robotnikami i policyą. Rozruchy nie przyjęły jednak większych rozmiarów.

Podczas rozpraw nad budżetem w wiedeńskiej Radzie państwa Koło polskie postanowiło zachować się obojętnie względem rządu, którego działalności bezwzględnie pochwalać nie może. Tymczasem p. W. Dzieduszycki w zapale oratorskim posunął się do gorącej obrony rządu i napaści na lewicę. Projekt pospolitego ruszenia został już zatwierdzony w komisyi i po przedstawieniu go Radzie państwa, której zgoda jest zapewnioną, rząd przystąpi niezwłocznie do organizacyi obrony krajowej.

Grecya znowu objawia wojownicze zamiary, wpływa na to zapewne nowy zwrot w sprawie bałkańskiej, wytworzony oporem ks. bułgarskiego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 20 marca.

Sprawozdania doroczne, zwykła ich cecha i treść. — „Macierz polska,“ jej stan finansowy, wydawnictwa, *Niedziela*. — Uwagi i zarzuty.

Nastała pora, w której przeważna część rozmaitych towarzystw i komitetów, zarządzających fundacyami, zdaje sprawę ze swych całorocznych czynności. Wszystkim tym sprawozdaniom jedno możnaby zarzucić: są one zbyt szablonowe, zbyt niewolniczo trzymają się jednej modły i dają raczej obraz, że tak powiem, formalnej strony działalności towarzystwa, aniżeli wewnętrznej, istotnej.

Z każdego sprawozdania dowiadujemy się bardzo dokładnie i szczegółowo, ile złotych i centów było w funduszu żelaznym, obrotowym, takim i owakim, jak je umieszczono, kto kiedy prezydował, sekretarzował, był członkiem rady nadzorczej, ile było posiedzeń zarządu, komu należy się szczególna wdzięczność za popieranie celów towarzystwa (objawiające się np. w tem, że protektor raczył w łamach swego pisma wydrukować jakieś zawiadomienie zarządu, czy rady nadzorującej, przeznaczone dla ogółu) — wreszcie o wielu innych jeszcze, niewątpliwie cennych dla potomności szczegółach, niedających jednak jasnego i przejrzystego obrazu rozwoju towarzystwa, ani też nieświadczących nic o tem, czy po za staraniami o przedstawienie pięknego bilansu myślano także o należytem spełnieniu „rzeczywistych“ zadań towarzystwa i czy praca ta wydała jakie owoce, znalazła uznanie w tej sferze, dla której była przeznaczoną? Wobec takiego systemu rzetelna ocena działalności jest nadzwyczaj utrudnioną, tem bardziej, że prasa codzienna zwykle łapie się na lep niczem nie popartych ogólników, którymi takie sprawozdania są zaprawione, powtarza je (dla wygody) dosłownie, nie poddając zwyczajnie nawet publicznej krytyce a tem samem, bądź to rozmyślnie, bądź też mimowiednie, wprowadza czytających w błąd. Z drugiej zaś strony dla prywatnej jednostki zebranie niektórych danych charakterystycznych, mogących posłużyć do wyjaśnienia sprawy i do oceny, jest albo połączone z nader wielkimi mozołami, albo też prawie zgoła niedostępne. Czy jednak pożądana w tej mierze reforma nastąpi rychło? Czy prasa zechce tę sprawę rzetelnie i wyczerpująco roztrząsnąć? Na razie niewiele mam nadziei, wątpię zaś, ażeby ktoś z wysokich sfer rad nadzorczych i wykonawczych zechciał rzucić okiem na dorywcze, bezpretensyonalne a co gorsza nieosłonięte płaszczem powagi naukowej uwagi skromnego korespondenta *Prawdy*.

Rzecz cała jednak w moich oczach jest wcale niepoślednięj wagi, gdyż sprawy, któremi takie towarzystwa się zajmują, obchodzą żywo całe społeczeństwo nasze i powinny też ścisłej jego kontroli podlegać. Umożliwienie jej jest tedy niezbędne a krytyka działalności zarządów wielce pożądaną. Bez tego o posuwaniu się naprzód, należytym rozwoju działalności — trudno mówić.

Zarzuty, które powyżej ogólnie podniosłem, będę się starał poprzeć dowodami.

Przedewszystkiem sprawy oświaty ludu. Tu na czele idzie bezsprzecznie *Macierz polska*, istniejąca wprawdzie dopiero od lat kilku, ale rozporządzająca dość znacznym zakładowym kapitałem i mająca za sobą silne poparcie najwyższych władz autonomicznych a także i duchowieństwa. O „Macierzy“ wspomniał niedawno (w nrze 6 *Prawdy*) mimochodem korespondent z Rusi halickiej, zdając sprawę z działalności podobnego towarzystwa „Proświta.“ Uwaga jego, dla „Macierzy“ wcale niepochlebna, poruszyła nieco i rozgniewała przyzwyczajoną do dymu pochwalnych kadzideł radę wykonawczą. Oburzali się zwłaszcza przewodniczący rady dr. Małecki i sekretarz p. Bełza, pomawiając go o rozmyślne bałamucenie opinii publicznej i tendencyjne przekręcanie faktów. Czy oburzenie to było usprawiedliwione? — odpowiedzą cyfry i daty wyjęte z samego sprawozdania:

Z początkiem roku 1885 miała „Macierz“ w majątku swym zapas w gotówce 385 złr. 85½ ct., w papierach wartościowych 27,200 złr. Przybyło w ciągu roku gotów-

---

A uśmiechnie się błogo
Smutne oblicze Zbawcy...

Czerń średniowieczna.

Hep! hep! ławą za żydem!
Chwytaj i depcz i wal!
To zielsko dla nas wstydem,
Niech je wypleni stal!

Żyd jest ludzkości klęską,
Rodzicem jego — czart;
On wiedzę czarnoksięską
Z Talmudu czerpie kart.

Niech zcześnie żydów władza!
Na stos! na pień! na sznur!
Ich to klątwa sprowadza
Pożogi, głody, mór...

Walczą milczkiem, obłudnie
W zemście nie szczędząc sił:
W Trydencie trują studnie,
Z których lud wierny pił...

Chleb święty, ciało boże,
Kradną, by sycić gniew,
I w hostyach topią noże,
Z pod których tryska krew...

Drwią z tortur, drwią z cierpienia,
Z łamanych nóg i rąk,
Bo szatan w cień ich zmienia,
Żeby nie czuli mąk...

To zielsko dla nas wstydem,
Niech więc je wytnie stal —
Hep! hep! ławą za żydem!
Chwytaj i depcz i wal!

Szatan w habicie mnicha.

Słyszysz, trzodo nieszczęśliwa,
Swych jagniątek smutne jęki?
Wilk drapieżny je porywa,
Na stracenie i na męki.
Ślepe jego oczy
Na pogróżki nieba —
Krew niewinną toczy,
Bo mu krwi potrzeba!

Słyszysz, ludu, jęki dziatek,
Które rzeza nóż żydowski?
Pochwycone z łona matek,
Bez chrztu idą przed sąd boski.
Dla zbójcy—mało
Sprawić katusze...
Umęczył ciało,
Zabija duszę!

Pókiż będzie kraj nasz miły
Ta ofiara plamić krwawa?
Czyliż nie dość ją stwierdziły:
Lwów, Sandomierz, Kraków, Rawa?
Żywą posoką
Przelana czara...
Oko za oko!
Za zbrodnię — kara!

Chór.

Łatwiej ścierpi losów urąganie,
Kto się z nędzą zbratał od kolebki —
Lecz tyś hańbą napiętnował, Panie,
Lud, co bywał i wielki i krzepki.
Choć przed rzymskim schylił się on kaskiem,
Chwały jego nieszczęście nie zmniejsza —
A im żywszym świeci przeszłość blaskiem,
Tem obecność łzawsza i czarniejsza!

Śmieszek.

Mośki, Abramki Szmule,
Nie warci łzy, ni łezki —
Lud, co jada cebulę,
W sam raz do humoreski.
Nosy krzywe, garbate,
Twarze jak faunów maska,
Najlepiej odziać w szatę
Komicznego obrazka.
Wiek przesadnej idylli
Pogląd na żyda skrzywił —
Najtrafniej go cenili:

ką 9,242 złr. 1 ct., w papierach 2,424 złr., wydatki zaś wynosiły w gotówce 9,030 złr. 96 ct., w papierach 1,424 złr. — zatem stan ostateczny po całorocznym obrocie wynosi 596 złr. 90½ ct. w gotówce a 28,200 złr. w papierach. Na uwagę zasługują następujące pozycye: zapomoga z funduszu krajowego 3,000 złr., legat p. Chladka 1.000 złr., dochód z wydawnictw 1,236 złr. 13 ct., te trzy w rubryce przychodu, zaś w wydatkach koszta druku, wydawnictw i honorarya autorów, razem obliczone na 6,079 złr. 10 ct. i zasiłki naukowe dla dzieci niezamożnych rodziców w kwocie 500 złr. W roku poprzednim zapomoga wynosiła takąż samą kwotę, zasiłki naukowe również, natomiast koszta wydawnictw były znacznie wyższe, bo doszły do 9,702 złr. 97 ct., ale i dochód z książeczek przyniósł o wiele pokaźniejszą sumę 3,696 złr. 05 ct.

Tak przedstawia się sprawozdanie pod względem finansowym. Dowiadujemy się z niego zresztą, że rada wykonawcza wydrukowała w tym czasie 6 książeczek w ogólnej liczbie 36,000 egz. mianowicie: J. Grajnerta *Antek Socha*, młody wojak, opowiadanie z czasów Jana Kazimierza, D. Janowskiego *Żywot św. Wojciecha*, J. Starkla *Bartłomiej Osnowa*, czyli jak sobie radzili tkacze w Komarowie, M. Moraczewskiego *O budowie zagród włościańskich* i E. Jankowskiego *Zużytkowanie nieużytków*. Przeznaczono do druku trzy prace: *Święta Kinga* E. Zoryana; *Życie sierotki Kasi* powieść moralna dla ludu i *Braterstwo ślubne*. Ogółem nadesłano radzie 21 prac, z których tylko wymienione przyjęte zostały. Nadto wydała ona *Kalendarz Macierzy* w 3,500 egz. a wreszcie pod jej kontrolą i na jej koszt wychodziło czasopismo tygodniowe dla ludu p. t. *Niedziela*. Czasopismu temu poświęcono w sprawozdaniu znaczniejszy ustęp. *Niedziela* miała z końcem roku 1885 około 1,000 płatnych abonentów (ściśle 933). Na wydawnictwo jej jednak wpływy z prenumeraty nie wystarczały a rada dokładała do nich całą zapomogę sejmową (3,000 złr.). Przyznaje ona wyraźnie, że rezultat pieniężny z *Niedzieli* nie okazuje się tak pomyślnym, jakby tego należało sobie życzyć, uważa jednak (dosłownie), „że pismo to spełnia zadanie swoje dobrzei pożytecznie, że cotygodniowa jego styczność z tysiącem czytelników nie może być dla nich bez korzyści i dodatniego wpływu i dlatego też, nie oglądając się na materyalne względy, postanowiła radai w przyszłości nie skąpić *Niedzieli* i wydawać to pismo nadal pod tąż samą redakcyą.“ Redaktorem *Niedzieli* jest Albert Wilczyński, znany pisarz. Od początku b. r. ma on wydawać *Niedzielę* na własny rachunek a w myśl układu zawartego z radą „Macierzy“ pobierać będzie od niej zasiłek roczny już tylko w kwocie 1,500 złr.

Sprawozdanie kończy się uwagami o reformach w administracyi wydawnictw, notatką statystyczną, wedle której od 20 lutego 1883, tj. od chwili wyjścia pierwszej książeczki, do 31 grudnia 1885 sprzedała „Macierz“ 24 książeczek w 74,000 egzemplarzach a więc przeciętnie rocznie 24,700 egz. a względnie wraz z egzemplarzami *Niedzieli* i kalendarza (w ostatnim roku) 29,200, wreszcie rozmaitymi podziękowaniami i notatką, że wydawnictwa „Macierzy“ cieszą się uznaniem ze strony czeskich pisarzów, którzy przetłomaczyli już prace Belzy, Juliusza Starkla i Wilczyńskiego a obecnie znowu p. Ptaszyński z Ołomuńca prosi o pozwolenie przekładu dziełka ks. Mazurka p. t. *O pożyciu ze sobą złych i dobrych małżonków*.

Podałem ile możności jak najdokładniej szczegóły sprawozdania „Macierzy,“ ażeby uniknąć podobnych zarzutów, jakie spotkały mojego kolegę. Nie mogę jednak wbrew przekonaniu upaść na twarz przed radą wykonawczą i bić jej pokłony za znakomitą działalność obywatelską. Rezultaty tej pracy z bliska wyglądają trochę inaczej, niż na papierze. Nie sztuka mając 30,000 złr. do rozporządzania, otrzymując co roku z funduszu krajowego 3,000 złr. wydać kilka książeczek choćby i w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy! Czy jednak te wydawnictwa są dobre i pożyteczne? Przeczytałem wszystkie książeczki wydane w ostatnim roku przez „Macierz“ i wypowiadam otwarcie, że z wyjątkiem 2 ostatnich prac (Moraczewskiego i Jankowskiego) posiadających jaką taką wartość i pożytecznych dla ludu, inne są albo wręcz szkodliwe, albo zgoła nieużyteczne. Nie pierwszy to wypadek w wydawnictwach „Macierzy,“ która gwałtem chce uczyć lud tylko zasad religii i moralności, oczywiście wedle swej recepty, jako jedynie zbawiennej a wszystkie inne potrzeby jego zawiesza kołku. Mojem zdaniem powinnoby sprawozdanie „Macierzy,“ jako instytucyi szafującej groszem publicznym, zawierać zawsze umotywowane orzeczenie, na podstawie którego jakaś pracę uznano za dobrą i pożyteczną; wtedy może dowiedzielibyśmy się o rozmaitych zaletach wydawnictw, zaletach, nam widocznie nieznanych, wtedy byłaby możliwą polemika z takim sądem, wtedy publiczność czytająca osądziłaby, po czyjej stronie jest słuszność. Nadto pragnąłbym coś wiedzieć, gdzie i jak rozchodzą się te wydawnictwa, ażeby jako tako módz osądzić, o ile oświata rzeczywiście postępuje między ludnością i to najbardziej jej potrzebującą — wiejską. Jeżeli bowiem rada szkolna poleca wydawnictwa „Macierzy“ i tysiące egzemplarzy wskutek tego rozchodzą się pomiędzy młodzieżą szkolną miejską (np. we Lwowie na koszt rady miejskiej rocznie po kilka tysięcy), to nie wiem, czy taki rezultat i finansowy i moralny nie jest chybiony i czy bardzo odpowiada założeniu właściwemu? Jak wtedy wyglądałby ów obrót 24,700 egz. rocznie? czy mogłaby rada chlubić się, że w przeciągu pierwszych trzech lat „sprzedała pomiędzy ludnością wiejską“ 74,100 egzm.? A cyfra to niewątpliwie bardzo piękna na nasze stosunki. Wyjaśnienia więc w tym kierunku są niezbędne.

Że kalendarz Macierzy rozchodzi się i to w pokaźnej ilości (3,500 egz.), to mnie nie dziwi wcale. Kalendarze stanowią zawsze jeszcze u nas dla bardzo wielu najpoważniejszą lekturę. Im więcej przynoszą zadrukowanego papieru a im tańsze przytem, tem więcej znajdą chętnych odbiorców. Kalendarz „Macierzy“ odpowiadał tym wymaganiom.

Niezmiernie interesującą byłaby statystyka zajęć, jakim się oddają abonenci *Niedzieli*. Pismo to przepływające ustawicznie między Scyllą bogobojnego ludowego dzienniczka a Charybdą pseudopolitycznego tygodnika, nie zasługuje wcale na uznanie, jakiem je rada wykonawcza obdarzyła. Bo czyż może odpowiedzieć swemu zadaniu pisemko niby ludowe, które drukuje kilkuszpaltowe kazania na temat z pisma św. i t. z. moralne powieści w fejletonie? Cóż wtedy zostaje z tego arkuszyka druku? Gdzie sprawy krajowe, gdzie tysiączne wyjaśnienia i porady w kwestyach, codziennych potrzeb, codziennego obrotu, gdzie wiadomości ze świata, obecnie już niezbędnie potrzebne każdemu włościaninowi, o którego nasy przecież odbijają się także wieści o wojnach, radach i prześladowaniach i który łaknie pewniejszych w tym kierunku wiadomości. Niestety ten sam grzech pierworodny co na wydawnictwach „Macierzy“ ciąży i na *Niedzieli*: pokost religijno-moralny. Każdego tygodnia przedewszystkiem kazanie, ażeby bogobojne duszyczki doprowadzić do królestwa niebieskiego, o resztę mniejsza.

Kaniowski i Radziwiłł.
I dziś, niech własną wolę
I wstyd wyrzuci z łona,
Gotową znajdzie rolę:
Polskiej szlachty bufona!

Klasyk.

Próżno w formę piękną, grecką,
Chciałbym zamknąć żyda,
Zawsze, zawsze go zdradzieckie
Typ semicki wyda!...
Nie wyrzeźbią zeń i mistrze
Marsa, ani Feba —
A świadectwo w tem najczystsze,
Że nim gardzą nieba.
Ukochawszy lud Hellady
I potęgą Romę,
Bóg im w licach bóstwa ślady
Zostawił widome;
Lecz żydowskie twarze, czoła,
Budzą wstręt i trwożą —
Bo nie czytasz w nich nic zgoła,
Tylko — klątwę bożą!

Fatalista.

Izraela lud krąży w bezładzie,
Jako gwiazda wypadła z orbity,
I przebija życiowe błękity,
Innym ludom będąc na zawadzie.
Myśliciele próżno łamią głowę,
By krążenia te przywieść do mety —
Nikt obłędnej nie zmusi komety,
By obroty wzięła prawidłowe.
Słońce, błyszcząc w stałych planet rzędzie,
Swego tronu nigdy nie porzuci,
Lecz kometa, co się z prawem kłóci,
Zgodę światów zawsze wichrzyć będzie!

Chór.

Czyż twej klątwy nic cofnąć nie zdoła,
Straszny Boże z mściciela obliczem?
Ust milionem lud o litość woła,
A przebłagać nie może cię niczem!
Świat usiały Izraela kości,
Popłynęło łez tyle, krwi tyle —
Jakiekolwiek były nieprawości,
Czas im spocząć w męczeńskiej mogile!

Poeta.

Tu jęki — tam przekleństwa. Środkiem się [wyłania
Naród, nakształt wielkiego znaku zapy-[tania...
Sprzecznych okrzyków wrzawą zgłuszony [bezżadam,
W wiry te sondę myśli zapuszczam aż na [dno,
Nie chcąc w świątyni Prawdy cofać się [przed progiem —
Bo jej bóstwo przeczyste nad wszystko mi [drogiem.

Narodzie bez ojczyzny! krzewie bez ko-[rzenia!
Ja smutki twe odgadłem, pojąłem we-[stchnienia,
I nim zbadam, czyś słusznej poddany po-[kucie,
Wprzód, jak bliźni bliźniemu, niosę ci — [współczucie.
Grom cię pali, gdy kąsa twe stopy skrwa-[wione,
A ty idziesz wciąż naprzód i wciąż w je-[dną stronę;
Jakież siły potężne kryć się w tobie muszą,
Ludu niezłomny! ludu z granitową duszą!
Gdy myśli twoje śledzę, zgnębione a rącze,
Do współczucia i podziw mimowolny łączę...

W sercach poetów zawsze rodzą się naj-[snadniej
Te dwa kwiaty miłości; oni też są władni
Odwróciwszy ład świata, ból płodnym [uczynić,
Uświęcić potępionych, a sędziów obwinić...
Tłum poczyna inaczej. Do jarzma wdro-[żony,

Finansowy stan *Niedzieli*, jak widać ze sprawozdania, jest istotnie takim, jak go przedstawił korespondent z Rusi; nie wiem przeto, dlaczego na niego się oburzano. Z rachunkiem wydawnictwa książeczek w obec braku szczegółów trudno sobie dać radę. Suma wydatków na wydawnictwa wynosiła 10 ct. — o *Niedzieli* w tym rachunku nie wspomniano, zdaje się więc, że osobno prowadzono tę rubrykę, za czem przemawia i to, że wpływów z przedpłaty nie ma i że wedle wyjaśnień rady sama *Niedziela* musi kosztować około 6,000 złr. rocznie (prenumerata 90 centów kwartalnie, 1,000 abonentów i 3,000 złr. zasiłku). W takim razie dziwnie trochę wygląda to finansowe sprawozdanie, w którem w rubryce przychodów umieszczono zapomogę z funduszu krajowego a z obrotu jej nie ma szczegółowego rachunku, jak również nie ma wyjaśnienia, ile właściwie książeczki kosztowały. Stwierdzając więc, że koszta wydawnictw „Macierzy" w r. 1884 wynosiły 9,702 złr. 97 ct., a w r. 1885 6,079 złr. 10 ct., że wreszcie w r. 1885 wydrukowano 6 książeczek, pozostawiam dalsze kombinacye rachunkowe czytelnikowi, chyba że kiedyś „Macierz" wyjaśni bliżej te dane.

O uznaniu ze strony czeskich pisarzów, które rada wykonawcza jako chlubę niemałą dla swych wydawnictw podnosi, nie uważam za stosowne się rozpisywać. Nie jedno głupstwo przetłomaczono z obcych języków na polski, że to się dzieje i *vice versa*, mamy także dowody.

O sprawozdaniach innych z tej samej dziedziny, jak „Macierzy," pomówię w liście następnym, ażeby dzisiejszego, zbyt już obszernego, nie przedłużać.

Leszek.

KURSY LEKARSKIE
dla kobiet.

W ostatnich czasach społeczeństwo i pisma rosyjskie zajęły się sprawą istnienia żeńskich kursów lekarskich. Po dziesięciu latach wzbroniono wstępu nowym słuchaczkom, tym zaś, które już rozpoczęły studya, dozwolono je skończyć. Rok więc 1886 ma być ostatnim dla kursów.

W swojem krótkiem istnieniu przeszły one następującą kolej. W 1860 r. objawia się ruch umysłowy między rosyankami: dążą one do wyższego wykształcenia, niektóre wyjeżdżają za granicę, ale większość zostaje w kraju. Wychodząc z ewangelicznej zasady: „Pukajcie a będzie wam otworzono" mniej szczęśliwa większość kobiet zwraca się do różnych świątyń nauki z prośbami o przyjęcie, największy zaś procent dobija się o wykształcenie lekarskie. Wiele zużyto przytem energii i starań — szczęściem, nie na próżno: znaleźli się ludzie, sympatyzujący z tym ruchem, uważający go za skutek pewnych przyczyn społecznych i ekonomicznych. Dzięki ich staraniom urządzono na próbę przy Akademii medycznej z Najwyższego Zezwolenia (1872 r.) czteroletni kurs tak nazwanych „uczonych akuszerek." Kapitał zakładowy stanowiły 50,000 rs., które ofiarowała p. Rodstwiennaja. Program był znacznie ciaśniejszy, niż w Akademii, toteż kursy nie mogły zadowolić chcących poświęcić się specyalnie medycynie; jednakże kobiety, które nie miały środków na wyjazd za granicę, musiały poprzestać na tem, ciesząc się nadzieją lepszej przyszłości. Profesorowie Akademii, główni założyciele kursów, widząc postępy słuchaczek mimowoli rozszerzali zakres nauk. Oto jeden z faktów najlepiej malujących ówczesne położenie instytucyi. Spodziewano się odwiedzin pewnej osoby, zajmującej wysokie stanowisko. Podczas wykładu fizyologii, gdy profesor mówił o sercu i nerwach regulujących jego ruchy, wchodzi wizytator i prosi o dalsze prowadzenie lekcyi. Profesor zaczyna opowiadać o chorobach kobiecych; zdziwione słuchaczki spoglądają na niego, gość oddala się a profesor dalej ciągnie zaczętą przed przyjściem wizytatora lekcyę fizyologii. (*Wiestnik Jewropy*, styczeń 1886 r.).

Położenie pierwszych studentek było ze wszech miar trudne. Będąc pionierkami wyższego specyalnego wykształcenia kobiet, czuły na sobie wzrok niechętnych, którzy za najmniejsze wykroczenie jednostki czynili odpowiedzialnem całe zgromadzenie studentek, prowadziły życie odosobnione, w ciężkiej pracy wyczekiwały lepszej doli dla zakładu. Dzięki profesorom, którzy sprawą zaopiekowali się gorąco, do wyżej zakreślonych czterech kursów dodany był piąty, program nauk zrównany z programem Akademii medycznej (oprócz medycyny sądowej i policyjnej), kursa urządzono przy Nikołajewskim wojennym szpitalu, oddano pod opiekę ministeryum wojny i zamianowano „Żeńskimi kursami medycznymi" zamiast dawnej nazwy „Kursów uczonych akuszerek." Tę reformę kobiety uczące się przyjęły z nadzwyczajnym zapałem; nawet społeczeństwo powitało ją sympatycznie a ziemstwa urządziły stypendya dla studentek z warunkiem późniejszej odsługi.

W czasie tego pomyślnego rozwoju młodej instytucyi wybuchła wojna i ministeryum zaproponowało, aby słuchaczki udały się na plac boju. Wszystkie jednogłośnie zgodziły się, a ten pierwszy debiut pokazał w kobietach zdolność lekarską. Wiadomo, jakiem poświęceniem odznaczyły się, niosąc, oprócz pomocy, słowa pociechy. Za tak zaszczytne spełnienie obowiązków przedstawiono niektóre do orderu św. Stanisława.

Po wojnie przy Akademii urządzony był egzamin, który przeszedł oczekiwania profesorów. Po ukończeniu szkoły pierwsze lekarki, mając naukę mężczyzn, a nie mając praw żadnych, nie wiedziały co robić. Ziemstwa przywoływały swoje stypendyatki, niektóre zwracały się do kursów o zalecanie im lekarek, trzeba było jechać, ale jakże leczyć, nie mając prawa napisania recepty? Społeczeństwo, jak w pierwszym razie przez urządzenie stypendyów, tak i w tym przez otworzenie posad wprzód zaopiekowało się lekarkami, niż prawo. Dopiero w 1879 r. Najwyższym Reskryptem dozwolono kobietom praktykować na równi z mężczyznami i dano im znak osoby (kobieta-lekarz).

Jednocześnie z przyznaniem praw utrudniony był wstęp na kursy. Wyznaczono konkursowy egzamin. Pomimo to napływ był ogromny tak, że nie wszystkie przyjmowano z powodu braku miejsc. Kiedy kobieta-lekarz pozyskała prawo obywatelstwa nietylko w klasach oświeconych, ale i wśród ludu, ministeryum wojny, widząc niestosowność swego zwierzchnictwa nad kursami, zwracało się do różnych instytucyj z pytaniem: czy nie zechcą przyjąć opieki nad nimi, gdyż one przy Mikołajewskim szpitalu wojennym istnieć nie mogą. Duma petersburska przyjęła propozycyę pod warunkiem, jeżeli na urządzenie kursów nie będzie obowiązaną dawać więcej, niż 15,000 rs. i jeżeli szpitale miejskie przejdą w jej zawiadywanie. Ten drugi warunek nie mógł być wypełniony — szpitale nie przeszły pod jej zarząd. Ministeryum robiło jeszcze zapytania, ale daremnie. Jednocześnie Najwyższy rozkaz polecа Kursy przy Mikołajewskim szpitalu wojennym zamknąć i zapytać, czy inne instytucye nie przyjmą ich pod swoją opiekę, a w razie przychylnej odpowiedzi oddać gabinety, laboratorya i bibliotekę. Społeczeństwo rosyjskie wiedząc, że insty-

---

Siłę tylko uwielbia. Bezwstydne pokłony
Bije złotu Midasów, Cezarów purpurze,
I plwa na tych, co w dole; liże tych, co
[w górze.
Tłum ma głupie i dzikie instynkty brytana:
Drażni go twarz schorzała, odzież obszar-
[pana,
Gdy czego nie rozumie, gniewnie na to
[warczy
I na cudze nieszczęście rzuca jad potwarczy.
Cóż za dziw, że i tego obryzgał swym ja-
[dem,
Kto mu spokój zakłócał licem obcem, śnia-
[dem,
Kto z trwożliwem spojrzeniem, a duszą
[namiętną,
Nosił w twarzy tułactwa wieczystego pię-
[tno,
I kto ludzi i bogów pozbawiony wsparcia,
Żadnego nie mógł stawiać swym katom
[oparcia?
Olbrzym z nóg powalony, toż dla karłów
[gratka!

Żyd odgadł, czem uciszyć wrzawę tego
[światka:
Pastanowił być mocnym, a moc znalazł —
[w złocie.
Pragnienie siły wspólnem jest każdej
[istocie.

Ptak silnych szpon zazdrości lwu rudowło-
[semu;
Lecz na skowronka patrząc, wyrzeka: ach!
[czemu,
Czemu stwórca mi nie dał ptasich skrzy-
[deł siły! —
Złote blaszki żydowi życie ocaliły.

Lecz służba u Molocha nie bywa bezkarną,
I od jasnego złota dłoń się staje czarną,
Gdy je liczy zbyt chciwie, lub innym wy-
[dziera.
Z kapłana czystej myśli, z wieszcza, z bo-
[hatera,
Żyd zmienił się — w lichwiarza; motyl
[w gąsienicę.
Alchemia ludów dziwne kryje tajemnice!
Zgłodnialngo tułacza do zbrodni zniewala,
A potem przeciw niemu tłumów gniew za-
[pala,
I ręką, co w bagniska wtrąciła go szpony,
Policzkuje go za to, że jest — obłocony...

Ja cię nie nazwę świętym, ludu Izraela;
Bo, choć często przez boleść lud się wya-
[niela,
Ty, pod burzami losu, w proch upadłeś czo-
[łem —
Grzesznym jesteś człowiekiem dzisiaj, nie
[aniołem!

Płomień krwi, próżno chłodem zgiębiony
[stuleci,
Przepalił pierś i zmysły izraelskich dzieci;
Cielesność często tłumi w nich czucia ro-
[zumne —
Żyd, umierając, złoto bierze z sobą w tru-
[mnę.

Jednak miniona wielkość i świeże cier-
[pienia
Są nimbem, który lud ten poezyą spro-
[mienia;
Próżnoby też kto przeczył mu praw do
[szlachectwa.
Jakże stare są jego herbowe świadectwa!
Z edeńskiego pochodzą ogrodu i z arki;
A chociaż wzgardy brzemię zgięło mu dziś
[barki,
I z motłochem go tłumów zmieszały prze-
[kleństwa,
Jeden jeszcze ma dyplom: szlachectwo mę-
[czeństwa!

Gdy duch jednego rodu, przez pokoleń sto-
[pnie,
Podnosi się, aż szczytu uzdolnienia dopnie,
Tak samo duch plemienia; — im więcej
[lat przeżył,
Tem silniej się dojrzałym duchem opan-
[cerzył,

tucya zniknie po części z braku środków, gdyż bez wątpienia na utrzymanie jej oprócz 14,000 rs., ofiarowanych przez miasto, i wpisu słuchaczek, potrzeba więcej zasobów, posypało składki. Zaczęto urządzać koncerty, sama Moskwa przysłała 20,000 rs.; w prasie zjawiły się artykuły, rozbierające działalność kobiet-lekarzy i korzyść, jaką przynoszą. Ale to niedługo trwało — składki ustały, może skutkiem złego zrozumienia urzędowego rozkazu, a może skutkiem ostygnięcia zapału.

Działo się to w 1882 r. Od tego czasu sprawa Kursów wcale nie była poruszaną; wiedziano, że będą zamknięte, zgadzano się z tem, jak ze smutną koniecznością. Pracowała nawet bez rezultatu specyalna komisya nad ustawą. Dopiero w tym roku, ostatnim dla Kursów przy Mikołajewskim szpitalu, p. Nieczajew wskrzesił myśl przyjęcia ich pod opiekę dumy na tej zasadzie, że szpitale przeszły już pod jej zarząd. Duma oświadczyła się za tym wnioskiem. Dziś istnienie Kursow prawie uratowane; mało jest środków, ale społeczeństwo, dobrze dla nich usposobione dzięki masie artykułów, zamieszczonych w różnych pismach i prawdziwemu zajęciu się kwestyą kobiecą, niezawodnie pospieszy ze swą ofiarnością, której dowody składało.

Sprawa Kursów porusza obecnie *nietylko* inteligencyę rosyjską. Zaznaczę tu fakt świeży. Włościanie gubernii kazańskiej, ze wsi Turek, przysłali dla Kursów medycznych 40 rubli. To, zdaje się, nie potrzebuje komentarza. Sądzę, że i polki nie powinny tu zachować się obojętnie. Z powodu braku odpowiedniego zakładu w kraju, wyjeżdżały one bądź to za granicę, bądź do Petersburga. Czemu oddały pierwszeństwo medycynie — nie badam. Wyjazd za granicę wzmógł się po zamknięciu wstępu na Kursy w Petersburgu. Większość gorzej na tem wyszła: mając mało środków, źle znając język, muszą cierpieć wszelkie wahania się naszego rubla, a po powrocie do kraju, dla zużytkowania swej pracy zdawać przy radzie medycznej w Petersburgu bardzo trudny egzamin, z którego mniejszość wychodzi szczęśliwie. Z uniwersytetów szwajcarskich nie dopuszczają nawet do egzaminu. Zostaje Francya, ale kto wie, gdy Kursy lekarskie w Petersburgu zostaną zamknięte, czy pozwolą zdawać egzamin kończącym we Francyi. Na cóż zda się praktycznie ich wiedza?

Dotąd najwięcej praw wyrobiła sobie kobieta na polu medycyny, najwięksi przeciwnicy jej wykształcenia znoszą jeszcze lekarki. Utracić te prawa, znaczy obrócić w niwecz pracę dziesiątków lat, cofnąć się, zamiast iść naprzód.

Jeżeli mamy korzystać z obecnego ruchu na korzyść Kursów medycznych, musimy się z nim zsolidaryzować.

M. G.

BADANIA NAUKOWE.

ESTETYKA BARW
i filozofia złotego środka.

I.

Dziedzinie prawie nam obcej, zrzadka zaszczycanej bliższą uwagą — choć jest jedną z podstaw życia estetycznego — przybyło obszerne i godne rozpatrzenia dzieło prof. Struvego. Autor zboczył z drogi szerokich tematów na pole badań dosyć specyalnych i zajął się „zasadami upodobania w barwach“ *).

Nie podobna streścić zawartych w niem spostrzeżeń i prawideł, gdyż są niezmiernie liczne i wszechstronnie wyczerpują przedmiot. Jest to zaokrąglony wykład wskazówek dla bytu praktycznego, o ile pragniemy urozmaicić go powabem barw i wtajemniczający nas we wszystkie sprężyny efektów, jakimi malarstwo i jego zastosowania się posługują. Możemy zaledwie wymienić główniejsze działy pracy i podać znamienne jej rysy.

Z niemałem zajęciem czyta się stronice, poświęcone pojedynczym kolorom. Widać z nich, jak wrażenie zjawisk, głównie przedstawiających daną barwę, przy pomocy kojarzenia pojęć ustala się i odtwarza w umyśle przy każdym jej objawie, choćby nowym i nieznanym; jak nastrój wywołany przez czerwoność wyrósł na gruncie grozy krwi, łuny, lub jaskrawości kwiatów; jak spokój i melancholia błękitu sprowadza się do działania lazuru niebios; jak przepych złota do słonecznego światła, żółta pospolitość do wybladłej cery choleryka, lub zwiędłych w jesieni liści; jak z widokiem zieloności budzą się pragnienia wiosny i nadzieje odrodzenia, jak czarna jednostajność powstała z zaprzeczenia pstrocizny, znamionującej różnicę stanów i kast i jak będąc negacyą dnia stała się godłem mroku, śmierci, nicości i żałoby; jak wytworna, arystokratyczna, skupiona w sobie barwa fioletu zawdzięcza swój urok skromnemu kwiatkowi, co kryje się w trawie z cichą rezygnacyą, jakby nieświadomy swej cudownej woni i bliskiego pokrewieństwa z purpurą i błękitem, jak czar róży utrwala się w naszej duszy i udziela wszystkiemu, co barwą z nią pokrewne, woni, uroku, miłości i wdzięku. Nieprzebrana skarbnica tych i tym podobnych spostrzeżeń stoi dla każdego otworem. Dla nikogo nie są one nowemi, ale pomimo to z przyjemnością powtarzamy, bo autor zebrał je, zbogacił i uświetnił językiem swobodnym, subtelnym i dostrojonym do poezyi przedmiotu.

Za to niezawsze ciekawe, a często suche są badania nad związkami barw, czyli teorya ich harmonii. Wiele się tutaj mówi o akordach, o barwach zasadniczych i dopełniających, o rozwiązywaniu rozdźwięków przez dodanie odpowiednich pierwiastków; jest to część, może najważniejsza, albowiem kwestya piekna lub brzydoty barw dopiero w ich połączeniach zaczyna palić. Warunki przeto zgodności, wyrazistości, pełni życia, słowem wszystkich czynników upodobania słusznie zostały szerzej uwzględnione. Wszystkie główne kombinacye zaopatrzone są komentarzami; szkoda tylko, że zrodzone w ten sposób mnóstwo reguł przydać się może jedynie artyście, modystce, lub tapicerowi, a zwyczajnym śmiertelnikom przeczytanie, chociażby najgruntowniejsze, niewiele z całego katechizmu w głowie zostawi.

Natychmiast po ukazaniu się dzieła przyrodnicy cokolwiek ironicznie spoglądać zaczęli na naukowy jego podkład i — rzecz dziwna — to, co zwykle od drwin chroni, w tym razie wprost je wywołało, mianowicie siwizna i zgrzybiałość naturalistyki autora. Ma ona sięgać zamierzchłych czasów i dosadnie kłócić się z nowemi zdobyczami optyki. Niemniej przeto nie myślimy robić z tego *casus belli*, albowiem szanowny przedstawiciel idealnego realizmu, czy też realnego idealizmu u schyłku XIX wieku, chyba sławy na tem polu nie szuka. Bo wiemy, że płatał przyrodnikom grube, choć nieszkodliwe figle i tyle nieszczęśliwych wypraw zrobił w dziedzinę psychofizyologii, tylu młodym umysłom usiłował pogmatwać jasne wprzód pojęcia o duszy i ciele, żeśmy się dawno z przyrodniczym „daltonizmem“ jego zżyli, ubolewać nad nim przestali, choć tęsknić za myślicielem również uczonym, lecz mniej w rzeczach natury naiwnym nie przestali.

*) *Estetyka barw*. Warszawa, 1885.

Lotną myślą oskrzydlił, wzmógł doświadczeń mocą —
I to przed młodszych duchów broni go przemocą.
„Lecz żyd jest niewdzięcznikiem! żmiją odmrożoną,
Która swego wybawcy pragnie ugryźć łono!
Żyd nas nie kocha!...“
Jakto? Odkądże to niwa,
Piołunem siana, kwieciem lilii się okrywa?
Odkądże się kupuje miłość — nienawiścią?
Jeśli kto się ugania za serca korzyścią,
Niechaj w sobie wprzód ducha anielskiego wzbudzi,
Z braterskim pocałunkiem niech idzie do ludzi,
Krzywdy niech im odpuści, stanie się ich sługą.
I dobro im wyświadcza wytrwale i długo—
Wówczas dopiero, jeśli ów umiłowany,
Rękę, co mu chleb niosła, pochwyci w kajdany,
Jeśli odda policzek za pocałowanie
I z nożem przeciw swemu dobroczyńcy stanie —
Taki dopiero, wedle praw ziemi i nieba,
Żmiją jest — i jak żmiję zdeptać go potrzeba!

Jednak rachunki ludów zrównane być muszą.
Za wszystko trzeba płacić; — nie złotem, to duszą,
Pracą rąk albo serca gorącym porywem,
Czasem łzą... Żyd, choć cyfer przesiąknięty wpływem,
O harmonii wzajemnych wypłat zapomina.
Tak długo jest mu matką ta płaska kraina,
Której zboże go żywi, las zrąbany grzeje,
Która dzieli z nim bóle, wspomnienia, nadzieje,
Której kwiecie kołyskę jego umaiło,
A drzewa szumieć będą nad jego mogiłą —
Tak go długo jej dzieci wykarmiała praca,
I tak wiele wziął od niej — a tak mało zwraca!
Za wszystko płacić trzeba. Więc i za pól ziarno,
Co go syci; za wodę rzek; za ziemię czarną,
W której kości swe składa po ziemskiej podróży;
I za to, że w niej znalazł cichy port po burzy,
Że świąteczne szałasy buduje z jej sosen,
Że w niej przeżył zim tyle i kwiecistych wiosen,
I że tu zrzucił z ramion Dejaniry szatę, —
Za to wszystko żyd winien ziemi tej — zapłatę.

Ale wy, których serce nie wskazówek ducha,
Jeno podszeptów ślepej nienawiści słucha;
Wy, światła gasiciele! wysłańcy ciemności!
Chcący czynić bezprawie pod hasłem prawości!
Wy, co żyda, jak zwierzę, chwytacie w obławę,
Strzeżcie się! — Krwawa siejba rodzi plony krwawe!
Istnieje sąd historyi. Nemezys dziejowa,
Choć pod fałdami szaty często miecz swój chowa,
Zawsze o krzywdę ludu kiedyś się upomni.
Uniknął jej sam sprawca — doświadczą potomni.
Strzeżcie się! — a pracując dziś na dzień jutrzejszy
I na chwilę, co cierpień wam samym umniejszy,
Gardząc fałszem i światła mając pełne łono,
Czyńcie innym, jak chcecie, żeby wam czyniono!

Przejęci tedy nieufnością dla naukowych wywodów autora, z obowiązku jedynie wspominamy o nich, radząc ciekawym przyjmować je z zastrzeżeniami. Gdyby nie fakt, że z najlepszych dziś malarzy rzadko który jest znośnym fizykiem i naodwrót, możnaby nie dowierzać i estetycznej reszcie dzieła; atoli pomimo całej zależności wrażeń od budowy oka i wogóle warunków fizyologicznych mamy prawo roztrząsać zasady barw samoistnie. Bez krzywdy przeto dla utworu swego prof. Struve mógłby w dalszym ciągu zaniechać odwoływania się do wskazań nauki; radom jego w zakresie doboru kolorów każdy i tak dałby posłuch, bo bądź co bądź zdradzają w autorze wcale niezły gust. Niewątpliwie widział on dużo pięknych płócien, fresków i wszelakich okazów barwnych i oko ma wprawne i delikatne, ale cóż, kiedy w jego przykazaniach tkwi coś, coby również nazwać można idealno-realnem, jakaś zgoda bojąca się paradoksu i siły, cześć ślepa dla równowagi. Człowiek, któryby chciał kształcić się na „credo“ prof. Struvego nie popełniałby ciężkich grzechów przeciw harmonii, ale też z pewnością nie wykazałby śmiałej indywidualności.

Ilekroć wypada mówić o wybrykach i samowoli artystycznej, autor woła: vade retro satanas! i sam cofa się, by za chwilę postąpić o krok naprzód ku niezależności. Niestety „dwa kroki naprzód, jeden duży w tył“ — to zwykła taktyka apostołów złotego środka.

Dziw bowiem stał się niesłychany, że autor *Syntezy dwóch światów* w rozpatrywanem dziele niekiedy posuwa się naprzód, otrząsa ze szkolnictwa akademickiego, co zwłaszcza widocznem się staje w rozbiorze praktycznego zastosowania wyłożonych przedtem zasad. Zniżył on nieco lot swój i z wyżyn mglisto-podobłocznych skierował się ku powszedniemu życiu. Spostrzegł, że szaro cokolwiek na świecie (dzięki właśnie pewnym systematom filozofii) i zamierzył upstrzyć go, zabarwić, ożywić ogniem świetlanych efektów. Zaszczycił uwagą nawet owo skromne akcesoryum naszej ziemskiej powłoki, odzież, popatrzał dostojnem okiem na meble, tapety, co więcej, na znikomą twarz i urodę cielesną i tak się dał unieść temu prądowi rzeczywistości, że barwami w sztukach pięknych zajął się później, a nie tak, jak należałoby — najpierw. I stało się, że świat niewieści wdzięcznie dziękuje surowemu badaczowi za młodzieńczą rycerskość, z jaką go uczy o doborze kolorów i dopasowywaniu ich do typu, a prasa brukowa i sprawozdawcy od sukien z radości klaszczą w dłonie.

Ale zakres wskazówek autora jest znacznie rozleglejszym — i to przedewszystkiem stanowi o wartości pracy. Obok bowiem korzyści z wyrobienia smaku nabiera czytelnik jej znakomitego pojęcia o granicach i obszarach królestwa barw, o całem ich potężnem i wszechstronnem panowaniu w utworach sztuki plastycznej i naszem otoczeniu. O przepis mniejsza, temu i owemu trafi do przekonania, dla innego zostanie niezrozumiałym, ale każdy dowie się, że czy to w budownictwie domowem, czy w architekturze stylowej, czy w rzeźbie barwa jest możnym władcą, bez którego dzieła ich byłyby nieme a w najlepszym razie mało wymowne.

Prof. Struve bardzo jasno prawi o wartości kolorystycznej materyałów, którymi posługują się wszystkie sztuki plastyczne, zarówno rzeźba jak malarstwo, uczy, jak rachować się z tłem i przeznaczeniem dzieła, objaśnia z gruntowną znajomością przedmiotu rolę barw w państwie dłuta, oraz przeszłość jej, zaznajamia dokładnie z rodzajami i odmianami, jakie potworzyły się wskutek stosowania tego lub innego środka barwnego. W ogóle jest to część najzręczniej opracowana, najbardziej zalecająca się szerokiem traktowaniem i dlatego ma największej szans przyniesienia korzyści ogółowi.

Rozumie się, iż krainie pędzla podarował autor najlepszy kęs. Barwa jest tam czynnikiem głównym i górującym, warunkiem bytu, istotą samej sztuki i jeżeli wkracza w obręb innych, to także nie jako ich poddany, lecz jako sprzymierzeniec, potęgujący siłę. Wzrok ludzki lubuje się i w samej grze kolorów i gwoli niej zadawalnia się nieraz byle jakimi kształtami. Ta właśnie skłonność jest rodzicielką malarstwa i dopiero na wyżynach jej zjawia się potrzeba naśladownictwa form nas otaczających i wewnętrzna duchowa strona twórczości. I dziś może więcej niż kiedyindziej stosunek ten zewnętrznego efektu do idei rozmaicie bywa pojmowanym. Jedni roztaczają na pierwszym planie cały przepych kolorów, częstokroć z ujmą dla bogactwa treści; inni znowu widzą w kolorycie czynnik drugorzędny, którego celem jest uwydatniać kształty, a w mierze tylko przyczyniać się do uświetnienia pomysłu. Inni wreszcie stosunku tego samodzielnie nie rozpatrują, czyniąc go wprost zawisłym od odrębnej całkiem zasady: prawdziwości obrazu. Nie będziemy tu wyliczali przedstawicieli tego lub owego kierunku, każdemu są oni mniej więcej znani.

Historya malarstwa wykazuje jak najróżnorodniejsze powiązania tych składowych pierwiastków. Co się zaś tyczy prof. Struve, to jest on za harmonijnem ich połączeniem i jak łatwo odgadnąć, najmniej przychyla się do przewagi naturalizmu. Jako uczeń zastarzałej estetyki i kapłan, choć nieszczery, idealizmu nie docenia wpływu czasu i prądów cywilizacyjnych, nie ma zmysłu dla dzisiejszego kultu trzeźwości i prawdy w całem państwie estetyki; mniej już wrogo, ale zawsze jeszcze niechętnie, spogląda na kolorystów, zapewne w imię godła nieschlebiania zmysłom. Ale z tem wszystkiem ugiął się przed potężnem hasłem epoki: „przyjacielem — Płato, aleć większą przyjaciółką prawda“ i przyznaje, że *ostatecznie* wszystko zależy od indywidualności artysty, który potrafi sam stworzyć szkołę i ma prawo niekrępować się żadnemi receptami.

Wieńczy swoją pracę autor rozprawą o rozwoju poczucia barw w pierwotnem, jakoteż w wyższem i specyalnem wychowaniu.

Tak więc założenie prof. S. jest nawskróś praktycznem. Pragnie on oddziałać na społeczeństwo w kierunku estetycznym. Przystępnie a czasem i jowialnie rozmawia z niem, poucza i czyni wszystko, co może, ażeby zjednać sobie życzliwych. Powtarzamy, dziwna „ziemskość“ zakradła się do myśli i pióra p. Struvego — jakie są tej zmiany przyczyny? Warto się zastanowić, bo pracownik to może najpilniejszy w dzisiejszej naszej kuźni filozoficznej.

(D. n.).

N. Hirszband.

WYKOPALISKA MNIKOWSKIE*).

Tragikomedya mnikowska przypomina żywo historyę pomnika Mickiewiczowskiego. Tu i tam objęli ster krytyki w swoje ręce ludzie, niemający w przeważnej części jasnego pojęcia o rzeczy ocenianej; tu i tam skompromitował się komitet krakowski, złożony z powag galicyjskich; tu i tam wyszła na jaw niedojrzałość i niski poziom znajomości— tam rzeźbiarstwa, tu archeologii. Sprawa pomnika dla Mickiewicza, zajmująca cały naród, rozbrzmiała od razu po ziemiach polskich; sprawa kamieni i kości mnikowskich z natury swej nie mogła wyjść po za mury Akademii krakowskiej, lecz obie rzucają jaskrawe światło na nasze artystyczne i naukowe sądy. Z kolejami ostatniej, czysto akademickiej „dźury,“ chcę zaznajomić bliżej naszych czytelników.

P. G. Ossowski odkrył jeszcze na wiosnę 1879 r. w jaskiniach okolic Krakowa niesłychanie bogaty plon wykopalisk, który w następnych latach do 8 tysięcy sztuk powiększony i opisany przez niego (w *Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej* wyd. przez Akademię umiejętności, tomy IV—VII) stał się przedmiotem tej niefortunnej sprawy.

P. Ossowski odnosi swe wykopaliska naturalnie do najodleglejszej epoki przedhistorycznej. Tak np. upatruje on w kawałku żebra bydlęcego profil twarzy ludzkiej i podaje jako „pierwszy okaz fetyszal!..“ Tymczasem p. Łepkowski, profesor archeologii na uniwersytecie Jagielońskim, rzuciwszy tylko okiem na tę figurkę, orzekł stanowczo, że „to chłopcy mnikowscy zrobili.“ Po nim zaprzeczył autentyczności wykopalisk p. T. Ziemięcki, drugi archeolog, i to „wprzód nawet, nim same przedmioty obaczył...“ Widząc, że źle idzie w kraju, udano się o pomoc za granicę — niestety — doniosłość odkrycia p. Ossowskiego, zakwestyonowali także i uczeni obcy. Archeologowie Szombathy i Much orzekli na posiedzeniu Towarzystwa antropologicznego w Wiedniu, dokąd posłano kilkanaście okazów, że to są „same falsyfikaty...“ Przypadkiem przejeżdżało dwóch znakomitych archeologów francuskich przez Kraków. Zwiedzając zbiory Akademii krakowskiej, zatrzymują się przy wykopaliskach jaskiniowych. Jeden z nich, Mortillet przypatrzywszy się bliżej niektórym kościom mnikowskim, oświadczył stanowczo, że to są „wyroby nowoczesne“ i krytykę swoją, popartą przez znakomitego archeologa Chantre, ogłosił w dwóch fachowych czasopismach francuskich (*Materiaux pour l'histoire primitive*, tudzież *L'homme* 1884). Ale kiedy uczeni francuscy podają całe odkrycie p. Ossowskiego w wątpliwość, znalazł się na szczęście archeolog niemiecki, występujący śmiało w obronie wykopalisk. Oto dyrektor muzeum archeologicznego w Królewcu Tischler, po sumiennem zbadaniu przedmiotów na miejscu odniósł je do epoki neolitycznej. Zdania tedy uczonych zagranicznych były podzielone, wówczas Akademia umiejętności w Krakowie użyła następującego sposobu. Aby położyć raz koniec wszelkim wątpliwościom, poruczyła całą sprawę osobnej komisyi, do której powołała, oprócz prof. Łepkowskiego i Ossowskiego, także Altha, prof. geologii w Krakowie, Sadowskiego, członka Akademii umiejętności i Kopernickiego, docenta antropologii w uniwersytecie Jagielońskim. Zadanie komisyi było dwojakie: 1) miała ona orzec stanowczo, czy przedmioty, wykopane przez p. Ossowskiego w pieczarach mnikowskich, są autentyczne, czyli też podrobione; 2) w razie udowodnionej autentyczności miała oznaczyć, do jakiej archeologicznej epoki wyroby te odnieść należy? Zanim poznamy urzędową odpowiedź komisyi na oba te pytania, przypatrzmy się naprzód metodzie sądzenia. Z zasady uważamy dziś uchwały powag zbiorowych, przywłaszczających sobie moc obowiązującą paragrafów kodeksu karnego, co najmniej za niewłaściwe. Gdyby szło o takie kwestye, jak np. ortografia dla szkół, w takim razie miałoby jeszcze orzeczenie ciała zbiorowego praktyczne znaczenie, ale już nie na miejscu będą przepisy ortograficzne *dla ogółu*, każdy bowiem pisze sobie i drukuje, jak uważa za stosowne. Z tego stanowiska wychodząc, nie wiem właściwie, jakie znaczenie może

*) *Sprawa wykopalisk mnikowskich.* Dodatek do tomu IX-go *Zbioru wiadomości do antropologii krajowej* wyd. staraniem komisyi antropologicznej Akademii umiejętności w Krakowie. 1886, str. 180.

mieć wyrok komisyi archeologicznej w rzeczach, o których każdy uczony zawsze swój własny sąd zachowa, a o które publiczność wcale nie dba. Zresztą przedmiot tego rodzaju, jak oznaczenie starożytności wykopalisk, czyli przeprowadzenie wyczerpującego dowodu do jakiego wieku odnieść je trzeba, nie nadaje się, jak słusznie zauważył p. Ossowski, do roztrząsania „przez komitet w warunkach, w jakich on dziś istnieje...“ Dodać należy, że sprawozdania p. Ossowskiego były tylko tymczasowe, a żaden z komitetowych — okoliczność bardzo charakterystyczna! — nie raczył pofatygować się na miejsce do pobliskich pieczar, nęcących choćby tak romantycznem godłem, jak owo: „pod kochanką...“ Jeśli przytem zważymy zupełny brak prac przygotowawczych w naszej ubogiej literaturze archeologicznej i wielką nieznajomość rzeczy niektórych panów komitetowych, a wyobraziwszy sobie ledwie w ogólnych zarysach całą śmieszność położenia areopagu, opatrzonego mandatem *od całego świata*“ (czy tak prawdziwym, jak starożytność wykopalisk mnikowskich?) do wydania ostatecznego wyroku bez apelacyi — w „rzeczy niebywałej...“ Już samo postawienie pytania świadczy o mylnem pojęciu rzeczy, cóż dopiero powiedzieć o całej nad nią dyskusyi. Przedewszystkiem samo odkrycie p. Ossowskiego okazuje pewne błędy. Zamiast zbierać namulisko warstwami, a wyjęte z każdej warstwy przedmioty rozpinać na osobnym kartonie w tem ugrupowaniu, w jakiem leżały, kopał on doły, które, napływająca znów woda z mułem zalewała, a po dobyciu całego zapasu kamieni dowolnie je rozgatunkowywał. Wskutek tego brak nam obecnie najważniejszych informacyj co do rozłożenia i głębokości wykopanych przedmiotów, a tem samem brak wskazówek o stopniu ich starożytności. Fatalniejsze skutki dla samego odkrywcy, pociągnął drugi jego błąd, popełniony przez zbyt staranne oczyszczenie i napuszczenie klejem przedmiotów. Oto na pierwsze wejrzenie przedstawiały się one tak świeże, tak nowe i czyste, że je brano za fabrykaty współczesne a co gorsza, czyszczenie to zatarło najpewniejsze ślady starożytności (np. pokrycie dendrytów).

W rozbiorze komisyi, uderza przedewszystkiem, pominięcie i to zupełne doświadczeń chemicznych, które jak przyznają sami: Alth i Ossowski, mogłyby doprowadzić do pewniejszych wyników. Próby techniczne p. Kopernickiego wydały gorzkie owoce a strona techniczna odgrywa tu ważną rolę. Z tego np., czy przedmiot jest łupany krzemieniem czy szlifowany pilnikiem, można orzec, czy należy do epoki kamiennej, przedhistorycznej, czyli do czasów nowszych. Ale cóż z tego, kiedy ten sam dr. Kopernicki uważa te same przedmioty na jednem posiedzeniu za wyrób ostrego *krzemienia*, na drugiem wprost przeciwnie — za wyrób ostrego nożyka *żelaznego*. Ową zmienność zdania wytłomaczy następująca drobna okoliczność. Oto doświadczenia były „dopiero w początku,“ kiedy p. K. zasiadł do wydawania wyroku, w ciągu zaś kilku miesięcy, przez które wlokła się ta sprawa, miał czas dojść do wprost przeciwnych rezultatów. W doświadczeniach technicznych posuwa się najdalej p. Ossowski. Aby przekonać komitet, że smugi sprawione skrawaniem noża (coby było cechą późniejszej epoki — żelaznej) nie dają się odróżnić od śladów po skrobaniu krzemieniem (uważanych za dowód wielkiej starożytności wyrobów) „naśladuje rozmyślnie“ za pomocą *krzemienia* smugi nożowe, chcąc zdurzyć siebie i drugich. W komicznem świetle przedstawiają się zacietrzewieni archeologowie, obradujący nad rzeczami, których znaczenia żaden z nich wytłomaczyć nie może. Kiedy jeden uważa te kości z bydląt „świeżo po zjedzeniu mięsa“ a nawet „z kości ludzkich“ wyrobione za *szydła*, drugi ma je za *strzały*, trzeci za *wrzeciona*, a czwarty za *haczyki rybackie*. Jedni podają *iglice* za okaz najodleglejszej starożytności, drudzy uważają je za *igły do szycia*, inni za *ozdoby*, przeznaczone do nawlekania na naszyjniki, a inni wreszcie za *czółenka tkackie*; kiedy jeden zalicza kość, z „jaskini na Łopiankach“ osadzoną w trzonku, do łopatek przedhistorycznych, używanych w garncarstwie, drugi bierze ją za „nożyk deserowy,“ a co do widełek kościanych z „epoki przedhistorycznej,“ to powiada o nich p. Sadowski, że to są „prawdziwe *widelce*, kompromitujące ich starożytność.“

Gdzie tak się zdania rozchodzą, nie może być naturalnie mowy o oznaczeniu czasu względnej starożytności przedmiotów; dlatego, jak odpowiedź komisyi na pierwsze pytanie: czy te wyroby są prawdziwe, czy podrobione — jest zupełnie zadawalającą, zgodną i przekonywającą (komitet orzekł tu jednomyślnie, że wszystkie okazy są autentyczne, opierając się głównie na szczątkach namułu jaskiniowego osad limonitowych i dendrytu, pozostałych w zagłębieniach kości) — tak znów druga odpowiedź na pytanie: do jakiej epoki odnieść te wyroby? wypadła tak sprzecznie i przeważnie tak nieumiejętnie, że dziwić się wypada odwadze w ogłaszaniu podobnych „wyroków.“ Nie może np. profesor archeologii odróżnić śladów „namuliska jaskiniowego“ na wyrobach starożytnych, od „mętnej, *błotnistej* wody,“ i dopiero p. Kopernicki musi mu tłomaczyć, że błoto daje się natychmiast spłukać, gdy tymczasem namulisko, wsiąkając powoli w tkankę kości, pozostaje w niej przez wieki całe, nie dając się tak łatwo zmyć, ani zetrzeć. Krzyż, jako ozdoba niektórych wyrobów, jest u niego znamieniem chrześciaństwa, pomimo że od lat 20 przestał niem być dla archeologii.

Sąd o starożytności wykopalisk p. Łepkowskiego, ma wiele za sobą słuszności. Pomijając owe niefortunne wyrażenie o „duchu kontemplacyjnym, który wieje z tych wykopalisk,“ rzeczywiście widać na nich pewien artyzm, który nie pozwala wszystkich przedmiotów odnieść do czasów przedhistorycznych. Czy to są rzeczywiście laleczki i figurki „z wąsami w górę zakręconymi, z ogoloną brodą i z obcasami u butów“ — to rzecz wątpliwa, ale to pewna, że niektóre wyroby pochodzą z czasów wysoko już rozwiniętej kultury. Potwierdza to także p. Sadowski, utrzymujący, że nagromadzone masami *odpadki krzemienne*, za jakie uważa znaczną część wykopalisk, pozostały po fabryce skałek do broni palnej, kwitnącej od końca wieku 17. Na tę epokę przypada też, zdaniem jego, rozpowszechnienie się u nas widelców, których dwa okazy znajdować się mają między naczyniami mnikowskimi. Do tej epoki, t. j. do czasów barokowych, odnosi się też ząbkowanie brzegów kości pilnikiem nowszej konstrukcyi. P. Kopernicki nie może się zdecydować. „Raz — powiada — przedstawiają mi się wykopaliska mnikowskie, jako wyraźny zabytek *odległej, przedhistorycznej* przeszłości, drugi raz jako produkcya jakaś *nieodgadnionych czasów historycznych*, a najczęściej ani jedno ani drugie wyraźnie...“ Mimo to sili się na naciągane porównania wyrobów mnikowskich z przedhistorycznymi, które naturalnie na nic się przydadzą, podobnie jak porównania p. Łepkowskiego; obaj opierają się bowiem na przypadkowem i bardzo odległem podobieństwie zewnętrznego wyglądu przedmiotów.

Następujący rezultat badań p. Kopernickiego popiera także nasze zdanie o niewielkiej starożytności przeważnej części wykopalisk. „Nigdzie — powiada on — ani jednej iglicy takiej, jakich półtora tysiąca znalezione w Mnikowie, ani jednej ozdóbki, ani jednego wisiorka kościanego, choćażby w najprostszej formie, ani jednej figurki — nic zgoła z tych rzeczy nie dostarczyły nam *żadne wykopaliska przedhistoryczne* u nas i w krajach ościennych.“ Dodajmy do tego niesłychaną mnogość przedmiotów, przewyższającą *wszystkie* dotychczasowe wykopaliska, dalej okazy garnków *toczonych na kole* i tym podobne nowsze wyroby, a utwierdzimy się w przekonaniu, że tylu i takich przedmiotów nie mogła wydać epoka przedhistoryczna.

Z.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa. Powieści wiejskie. **Niziny.** Warszawa, 1886. Z ilustracyami Andriollego.

P. Orzeszkowa należy do szczupłego grona tych z pomiędzy naszych pisarzy demokratycznych, którzy, nie robiąc z chłopów widowiska dla ulicznej i salonowej gawiedzi, nie zamykają jednak oczu na błędy i grzechy tej upośledzonej i upośledzanej dotąd warstwy społecznej. Autorka rozumie, że kilkowiekowy ucisk i niewola ani na umysłowość ludu, ani na jego obyczaje dodatnio wpłynąć nie mogły, że to, co w nim pozostało dobrego, jest spuścizną po dawnych, lepszych czasach, spuścizną, na której ludzie czynu mogliby oprzeć budowę moralnego i umysłowego odrodzenia mas ludowych, lecz która dzisiaj nie powinna być jeszcze ideałem i celem wyższej etyki i wyższej kultury. Czytając wszakże powieści p. Orzeszkowej, błędów owych i grzechów prawie nie widzimy; nie dla tego, aby ich tam nie było, lecz, że oczy zasłania nam widmo wieśniaczej niedoli — długiej, jak te wieki, co ją łzami poiły, beznadziejnej, jak pieśń białoruska jesienią, a podstępnej i zdradnej, jak pełzanie robactwa, żyjącego bezbronnością ludu i jego ciemnotą. Widmo to wskazuje nam prawdziwe źródła złego, istotnych sprawców nieszczęścia, jedynie odpowiedzialnych przed sądem — niestety — przed sądem tylko historyi. Najgłębszą treścią utworów autorki jest serdeczne współczucie dla pokrzywdzonych; w duszy czytelnika odbija się ono mimowolnym oddźwiękiem i budzi w nim czasem wyrzuty sumienia, niekiedy żądzę słusznego odwetu — za innych.

Takie odtwarzanie objawów życia ludowego, jego sprężyn i hamulców, świadczy o dojrzałości demokratycznych zasad autorki. Lepszym jest ona szermierzem słusznej sprawy, niż ów demokratyzm sentymentalny, który — posadziwszy „kmiotka“ na kanapie — sądzi, że dokonał przewrotu w jego umysłowości i obyczajach.

Jeżeli sąd powyższy można było opierać dotychczas na spostrzeżeniach, zaczerpniętych z różnych prac pani Orzeszkowej, to szereg zapowiedzianych obecnie „powieści wiejskich“ pozwoli nam zapewne o słuszności naszego zdania przekonać się dowodnie. Do przypuszczeń tych upoważnia pierwsza z tego szeregu powiastka: *Niziny*.

Główną postacią opowiadania jest niemłoda już dziewka wiejska — niegdyś oblubienica, nawet kochanka ekonoma, a w chwili rozpoczęcia wypadków pracująca ciężko wyrobnica i matka dwóch jego dorosłych synów; z tych jeden jest parobkiem dworskim, podwładnym swego nieprawego ojca, drugi zaś — *Pilipek*... nowozaciężnym żołnierzem. Starania i zabiegi matki o uwolnienie Pilipka z szeregów stanowią główną treść utworu. Zwodnicza nadzieja osiągnięcia upragnionego celu zajaśniała przed oczami Krystyny całkiem niespodziewanie. Do parobka, z którego rodziną wyrobnica i syn jej gnieździli się

razem w jednej izbie czeladnej, przyszedł w gościnę dymisyonowany żołnierz — Mikołaj, werbujący w wiosce i we dworze klientów dla pokątnego mecenasa z Ongrodu. Opowiadaniem swem o potędze mniemanego „hadwokata“ obudził on w sercu gospodarza chęć odnowienia sprawy o grunt z bogatym stryjem, w sercu zaś Krystyny—pragnienie uratowania wątłego Pilipka, któremu groziła daleka z pułkiem wędrówka do wschodnich kresów Cesarstwa. I gospodarz domu i wyrobnica mieli — jak się okazało — zapas niewielki zaoszczędzonego przez lat kilkanaście grosza; poparcie więc Mikołaja i drogę do pokątnego doradcy znaleźli z łatwością. „Hadwokat“ przejeżdżał właśnie przez wioskę, której mieszkańcom obiecywał wyprocesować od dworu jakiś kawałek ziemi, nie myśląc zresztą wcale o dotrzymaniu obietnicy. Na początek oddała mu Krystyna jedną setkę z zebranych przez siebie 300 rs., była to część Pilipka; z pozostałych dwóch — jedna miała jej służyć na pogrzeb, druga była własnością młodego syna Antośka. Chytry poradnik i nikczemny adwokat umieli jednak wydobyć od niej i resztę pieniędzy; Pilipek tymczasem bez grosza w kieszeni i bez pożegnania się z matką (czego zabroniono jej niby ze względu na własną korzyść syna) pojechał na mrozy i wichry wschodnich stepów. Nieszczęście to nietylko o wściekłą rozpacz przyprawia Krystynę, ale odbiera jej miłość i szacunek „okradzionego“ przez nią młodszego syna.

Równolegle z tą akcyą główną rozwija się druga mniej ważna — w rodzinie byłego kochanka Krystyny, ekonoma, któremu „hadwokat,“ daleki jego krewny, uwiódł i zbezcześcił córkę. Ojciec, dobroduszny prostak, olśepiony „przepychem,“ jaki — według jego zdania — cechował nędzną siedzibę pokątnego doradcy, nadto oniesmielony wyrzutami sumienia za własny swój postępek z Krystyną — nie umiał pomścić niesławy dziecka. Powieść kończy się więc tylko pogróżkami ekonoma, który obiecuje nasłać na uwodziciela swoją żonę, babę z ożogiem, postrach męża, całej rodziny i dworskiej czeladzi.

Typ wiejskiej dziewczyny-matki jest — o ile wiemy — w piśmiennictwie naszem dość świeży, w powieści zaś pani Orzeszkowej uderzająco prawdziwy i sympatyczny. Poglądy rozmaitych plemion i ludów na tak zwany „upadek“ kobiety bardzo się różnią; wszędzie zaś, jak i cała moralność, w ścisłej są zależności nietyle od wymagań panującej religii, ile od miejscowych szczególnych warunków bytu i ogólnego poziomu uspołecznienia. Poczynając od mieszkańców niektórych okolic Syberyi i Cesarstwa, gdzie owoc nieprawej miłości jest dla dziewcząt najpewniejszą rękojmią dobrego zamążpójścia, i kończąc na chłopie nadwiślańskim, który tylko względem gospodyni proboszcza z pewnym zachowuje się szacunkiem — można spotkać wśród ludności wiejskiej wszelkie możliwe odcienia zapatrywań na sprawę ludzkiej protogeneczy. Pomiędzy dwoma, wyżej zaznaczonymi krańcami, poglądy białorusina zajmują stanowisko pośrednie: jest on—jak w wielu innych wypadkach, tak i w tym szczególnym — pełen apatyi i obojętności. Dalekim będąc od chwalenia „występku,“ nie rzuca też na grzesznicę kamieni najcięższych. Taki nastrój opinii publicznej nie tamuje wprawdzie omyłkowego przyrostu ludności, posiada jednak tę wielką zaletę, że nie spycha upadłej na ostatni szczebel znikczemnienia, nie odtrąca jej od społeczności gromadzkiej i pozwala szukać rehabilitacyi w innych zakresach działania kobiecego ustroju. Jakoż pominąwszy gromadkę wszędzie mogących się znaleźć ladacznic, znajdziemy, iż białoruskie dziewczęta-matki nietylko nie stoją niżej od swoich szczęśliwych towarzyszek, lecz cechują się szczególną jakąś drażliwością sumienia i poczuciem osobistej godności. Autorka nie podkreśliła dość wyraźnie społecznego tła tych dziwnych na pozór objawów, przez co postać Krystyny ludziom nieznającym miejscowych stosunków może się wydać czemś wyjątkowem. Natomiast znajdujemy w powieści psychologiczne uzasadnienie innej, jeszcze bardziej zadziwiającej strony tego typu, pewnej *spotęgowanej dumy rodzicielskiej*. Przyczynę jej wykrywają nam słowa Krystyny: „Ot jak ja ich wychowała! *Sama — nikt nie pomagał.*“ Wyrazy te pomogą nam zrozumieć całość odtworzonego przez p. Orzeszkową typu. Oto są jego zarysy ogólne. W Krystynie i jej podobnych miłość i starania matki kojarzą się z energią, przezornością i przywiązaniem ojca. Oba szeregi tych uczuć i stanów duchowych, uświadomione w jednej osobie, potęgują się wzajem. Stąd kobiety takie, obdarzone zwierzęcem prawie przywiązaniem do dzieci, zdradzają jednocześnie pewną stanowczość — żeby nie powiedzieć — szorstkość w zewnętrznych z niemi stosunkach. Wszystkie te rysy uwydatniła autorka w Krystynie z niezrównaną plastyką odpowiednich szczegółów.

Drugą najbardziej nas zajmującą postacią w *Nizinach* jest Mikołaj, przebiegły pośrednik pomiędzy „hadwokatem“ i wiejską ludnością. Dymisyonowany żołdak niezmiernie pomysłowym był w wynajdywaniu coraz to innych powodów płacenia haraczu mecenasowi, z którym się dzielił sumiennie. Mikołaj nie jest wszakże potworem. Poczucie artystyczne nie pozwoliło autorce sprzeniewierzyć się tutaj prawdzie życiowej: potwory moralne są zjawiskiem niezwykłem, zwłaszcza wśród ludu. Życie chłopa bardzo mało sprzyja wybujałemu rozwojowi indywidualności w kierunku bądź ujemnym, bądź dodatnim. To też oprócz gorącego przywiązania do dzieci i do monotonnych melodyj żołnierskich, wygrywanych na starej trąbie, autorka pozwala widzieć w sercu Mikołaja resztki uczuć ludzkich i pewne wyrzuty sumienia wobec nikczemnych postępków meklerskich. Co więcej, bezecne zdzierstwo i chciwość Mikołaja znajdują w powieści takie uzasadnienie psychologiczne, które pozwala rozgrzeszyć go z połowy przewinień: pała on jakąś religijną miłością do kawałka gruntów dworskich, które „klinem“ wchodziły pomiędzy ubogie jego zagony, wabiąc go ciągle i kusząc do złego. Ciemnota chłopów, wierzących jego zmyśleniom przeraża i mimowoli skierowuje myśl czytelnika w stronę obrońców swych i stróżów.

Nędzna moralnie postać „hadwokata“ — zanadto może wytworna — budzi więcej litości, niż wzgardy. Autorka nie omieszkała zaznaczyć tu ogólniejszych warunków naszego rozwoju, umożliwiających szerzenie się padalnej zarazy — pod okiem prawa.

Typy rodziny ekonoma są bardziej zacne, pomimo to jednak niektóre z nich — np. ekonomowa— odwzorowane wybornie; mężowi zarzucić można, iż jest przesadnie „pantoflowym.“

Wszystkich rysów powiastki, tchnących bądź artystycznym wdziękiem, bądź prawdą życiową, wyliczyć nie podobna. Nieskończenie rzewnym jest ów moment psychologiczny w życiu Krystyny, kiedy, pożegnawszy się ze swym byłym kochankiem, powtarza w zamyśleniu: „jedźcie panie szczęśliwie, jedźcie panie!“ W tej duszy ognistej niegdyś i namiętnej, którą obecnie pochłonęła troska o syna, w tem sercu, dla innych uczuć zamkniętem, dalekie obrazy lepszej doli innem echem odbić się nie mogły. Niezrównaną także, jakkolwiek tchnie dzikością, jest rozpacz jej w chwili okropnego zawodu i moralnej utraty drugiego syna. Niemniej udatnie wyzyskanym jest magiczny wpływ na Krystynę obrazka wiszącego na ścianie salonika adwokata: obrazek ów przypomina jej Pilipka z czasów jego dzieciństwa i skłania ją do oddania oszustowi ostatniej setki pieniędzy. Skradanie się jej przedtem w nocy do tychże pieniędzy, aby je zabrać, nie budząc podejrzeń drugiego syna, również jest dowodem głębokiej intuicyi psychologicznej w autorce.

W życiu ekonoma widzimy też mnóstwo efektownych i realizmem tchnących szczegółów. Obraz odwiedzin kuzynka i popisywanie się przed nim zaletami córek wyborny. Znakomite robi też wrażenie rozmowa matki z córkami przez drzwi zamknięte panieńskiego pokoiku; schroniły się tam panny, by uniknąć gromów, jakie na jedną z nich spaść miały za romans z kuzynkiem. Razi wszakże „zamykanie drzwi pokoju na klucz.“ Na całej Litwie ani jedne drzwi stancyi ekonomskiej w ten sposób się nie zamykają. Pamiętał o tem Mickiewicz, gdy pisał:

> Drzwi zamknięto
> Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.

Pod względem artystycznego układu *Nizinom* możnaby zrobić zarzut poważny: oto na rozmowę ekonomówny z „hadwokatem“ tak silny położono nacisk, katastrofie wykrycia „zbrodni“ tak wielkie nadano rozmiary i tak wybitne obrobienie artystyczne, iż czytelnik ma prawo spodziewać się od autorki jakiegoś bardziej określonego rozwiązania dramatu, niż prosta groźba przysłania mamy dobrodziejki na głowę uwodziciela. Dlatego też powieść robi wrażenie utworu niedokończonego.

Wykonanie ilustracyj dość liche. Niektóre bardzo charakterystyczne typy (np. z przedpokoju adwokata) i sceny artysta pominął, zastępując je mniej wybitnemi (odwiedziny kuzynka).

W *Nizinach* p. Orzeszkowa pokazała nam tylko mały odłam życia ludowego. Miejmy nadzieję, iż zacne i utalentowane jej pióro nie każe czekać zbyt długo na pozostałe części obrazu.

Maryan Bohusz.

CHRYSTUS PRZED PIŁATEM

Munkaczego.

Warszawa nie może się skarżyć na brak silnych wrażeń w dziedzinie malarstwa. Gdy jej nie dostarczą znakomitych obrazów artyści krajowi, przyślą zagraniczni. Po dwu utworach pędzla czeskiego oglądamy słynne dzieło węgra — Munkaczego. „Chrystus przed Piłatem“ należy niewątpliwie do najświetniejszych prac malarstwa współczesnego. Zarówno układ grupy, jak i pojedyncze postacie zdradzają lwią rękę mistrza. Zdumiewającą jest rozmaitość odmian typu semickiego w licznem zgromadzeniu osób, zainteresowanych lub rozciekawionych procesem Chrystusa. Zwłaszcza zaś postacie, otaczające Piłata, oskarżyciele i dostojnicy żydowscy wysunięci na plan główny, posiadają dużo energii i charakterystycznych znamion. I sam Piłat, wybornie odbijający swą twarzą głębokie wątpliwości sumienia, posępne zakłopotanie, trudność wyjścia ze sprawy, rysuje się bardzo wymownie. Slucha obwinień, potępień, wrzasków, ale nie może się uwolnić z pod uroku męczennika, cierpiącego za swe szczere i wzniosłe przekonania. Jest to cywilizowany rzymianin, pojmujący doskonale barbarzyństwo i fanatyzm tłumu, który z głośną lub niemą zaciekłością domaga się od niego potępiającego wyroku, ale jest to zarazem polityk, który uznaje konieczność nasycenia głodnych żądz masy ofiarą jednostki.

A. Chrystus? Gdyby nie lekkie zmarszczenie brwi, nadające jego twarzy wyraz ziemski, nazwalibyśmy go figurą ste-

oretypową. Takich Chrystusów—chudych, z wysokiem czołem, spiczastą brodą i długimi włosami — spotkać można tuzinami w każdej większej galeryi. Munkaczy o tyle nawet pozostał w zgodzie z szablonem, że wyłamał swego Chrystusa z właściwej rasy — semickiej. Bez znajomości antropologii i etnografii każdy widzi, że stojący przed sądem prorok nie należy do tego samego szczepu, co jego oskarżyciele; to nie żyd, lecz aryjczyk. Wyidealizowanym typem aryjskim wszyscy prawie malarze posługiwali się dla stworzenia kontrastu, dla wydobycia boskości Chrystusa. Tak samo postąpił Munkaczy. Śród żydów postawił nieżyda, dał mu białą szatę, chudość — i tym sposobem, przyznajmy, nader prostym i niehistorycznym, mógł osiągnąć to, co gorsi od niego osiągają zapomocą świetlanego nad głową kółka. Co wyraża twarz Chrystusa w pomyśle Munkaczego — powiedzieć nie umiemy. Chyba cierpliwość, rezygnacyę i upór.

Technika obrazu, świetna w rysunku, przedstawia w kolorycie szczególną wadę, czy właściwość. Mianowicie wszystkie figury są kreślone jakiemiś spłowiałemi barwami. Ani jednej żywej białości ciała, ani jednego świeżego rumieńca, ani jednej nowej szaty — wszystko tchnie przedwiecznością, jak gdyby artysta znalazł w jerozolimskiej grocie pudełko farb i niemi namalował swój obraz. Przypomina on też owych dramaturgów i powieściopisarzy, którzy bohaterom starożytnym każą mówić językowymi anachronizmami. Każda ręka nie jest ręką żywą, ale preparatem nabalsamowanym, każda sztuka wykrojona z materyj muzealnych. Trudno uwierzyć, że ten obraz powstał w naszym wieku i niedawno wyszedł z pracowni artysty, że czas nie przyćmił jego barw, nie pozbawił miękkości jego ciał, nie wyszarzał jego atłasów i tkanin wełnianych.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Sprawozdania i ogłoszenia stowarzyszeń. — Pożądana swoboda, która nam wystarcza na rok. — Prawdziwi polacy. — Przestroga dla Towarzystwa wioślarskiego. — Oleodruki. — Nieprzejednany z Kijowa.— I tak źle — i tak nie dobrze. — Śmiech za śmiech. — Obraz Munkaczego jako ilustracya życiowa.

Chociaż owoców mojej „materyalistycznej“ działalności nie złożyłem pod żelaznemi skrzydłami Merkurego i daremnie ścigam marzeniem nadzieję, że kiedyś zajmę przynajmniej to stanowisko w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, co idealny ks. Z. Chełmicki; chociaż (z wyjątkiem Kasy Mianowskiego) nie jestem członkiem żadnego innego ciała zbiorowego i czekam tej chwili, kiedy trzech polaków więcej zrobi razem niż pojedynczo — czytuję przecież rozmaite ogłoszenia i sprawozdania wszystkich banków prywatnych, dróg żelaznych i stowarzyszeń. Ciągle bowiem łudzę się, iż gdzieś dojrzę ten klej organizacyjny, tę zdolność działania łącznego, której nawet korzonki zaniknęły w naszej naturze tak dalece, że p. Bolesław Maciejowski, jedyny człowiek, uczestniczący we wszystkich obradach finansowych, stał się śmiesznym. Nie wiem, ile złotych piór powinien mieć ptak, ażeby zyskał prawo odzywania się na zebraniach członków tego lub owego banku; ale przysięgam, że ustroję się w cudze akcye, stłumię moją odrazę do wszelkich nabożeństw pieniężnych i przyjmę w nich udział, skoro tylko zobaczę, że ze 100 ludzi pewnej grupy połowa przychodzi na „ogólne zebrania.“ W każdym prawie z programów politycznych, których przyzwoity zasób posiadamy na składzie, tęsknota do swobody stowarzyszeń znajduje się między naczelnemi życzeniami. Wolność ta jest rzeczywiście nabytkiem bardzo ważnym a ja nawet sądzę, że przydałaby się nam bardziej. niż kontusz. Tego samego zdania jest może wielu moich rodaków, ale mili bracia, cobyśmy zrobili z owym przywilejem, gdyby w nas jednocześnie pozostała chwalebna cnota, uprawiana dziś w każdem ciele zbiorowem, począwszy od płockiej „Zgody“ a skończywszy na Towarzystwie Kredytowem lub Muzycznem? Przypuśćmy, że założyliśmy 500 stowarzyszeń; pierwszego dnia zbiegłoby się do nich tylu członków, że kasyerzy nie nadążyliby przyjmować opłat. Po roku zapał by ochłonął, natomiast zabrzmiałyby gorące odezwy zarządów, błagających o wniesienie zaległych składek; po dwu, trzech latach rozsławiane związki zaczęłyby się chylić i nie mogłyby nawet zebrać na naradę takiej ilości członków, jakiej potrzeba do zamknięcia stodoły opuszczonej przez wróble. Znanym jest wstręt ludzi do wszystkiego, czem się przejedli. My polacy nasejmikowaliśmy się aż do niestrawności, zdawałoby się więc, że nam ten przysmak obrzydł. Ależ sejmikowała tylko szlachta, więc taka odraza byłaby zrozumiałą w Towarzystwie kredytowem ziemskiem; skąd ona jednak się wzięła w Towarzystwie wzajemnego kredytu, we wszystkich instytucyach, których członkowie nie są znani Niesieckiemu? Kto przechowuje w sobie dotąd bzdurne mniemanie, że polakiem jest tylko szlachcic i katolik, niech raz odwiedzi „ogólne zebranie“ członków jakiegokolwiek naszego stowarzyszenia, a gdy znajdzie brak kompletu prawomocnego do uchwał, przekona się, że żydzi, ewangelicy, kalwini są również bardzo dobrymi polakami. W „Harmonii,“ w „Yacht-klubie“ — tam nie ma polaków, a chociaż złożone z nich Towarzystwo wioślarskie dumnie dotąd nosi głowę, ja mu radzę: nie wołaj: hop!, dopóki nie przeskoczysz. Widziałem piękniejsze obrazy przy kasie Towarzystwa Muzycznego, kiedy pierwszego roku ludzie łamali sobie żebra. A dziś?

Jeżeli przypadek zgromadzi kiedykolwiek większą liczbę członków dwu Towarzystw zachęty sztuk pięknych (warszawskiego i krakowskiego), polecam najwymowniejszym z nich sprawę, która zasługuje na litość. Od pewnego czasu dają owe Towarzystwa, jako premium, oleodruki. Że handlarz sprzedaje ten lichy, a w każdym razie nieartystyczny wyrób — zgoda; ale że to czynią instytucye, sztuce poświęcone, to najmniej dziwić się trzeba. Śród ludzi z lepszym smakiem nie spotkałem takiego, któryby był miłośnikiem oleodruków, któryby je zawieszał w swoim salonie. Więc na cóż one są? Dla ozdabiania przedpokojów, kuchen, wreszcie pośledních części mieszkania? Proszę obejrzeć dwa premia: „Sobieskiego polującego na czaple“ Kossaka i „Skazaną“ Rossowskiego; jako maszynowe odbicia barwione są to roboty niezłe, ale przy tem wszystkiem jakie bohomazy! Owa „Skazana“ np. dostała rumieńce zadowolonej rzeźniczki; nie oczekuje kary, ale ciekawych oczu w przekonaniu, że włos jej z głowy nie spadnie, bo kat — malowany. Nie uwydatniam innych szczegółów, zmieniających do gruntu charakter utworów; pytam tylko ogólnie: czy oleodruki kształcą poczucie artyzmu? Zapewne, Towarzystwo zachęty sztuk pięknych nie może każdemu członkowi dać wspaniałego miedziorytu, ale zdaje mi się, że wszelka inna forma premiów byłaby lepszą, niż oleodruki, wyższe tylko od kolorowanych ilustracyj humorystycznych, najgłupszych ze wszystkiego, co sztuka rysowniczo-malarska wymyśliła, owych dziwolągów, w których jeden rękaw ubrania figury jest fioletowy, drugi — zielony, plecy czerwone a poły żółte.

A może to ubarwienie odpowiada duchowi czasu! Zdarzają się przecież ludzie jednocześnie czarni, biali, czerwoni, zieloni — liberalni, konserwatywni, słowianie i antisłowianie, narodowcy i antinarodowcy. Pod Przemyślem w Galicyi założono szkołę, w której między innymi przedmiotami będzie wykładany język rosyjski. Przypuszczam, że nie zrobiono tego dla *Kijewlanina*, ale spodziewam się, że *Kijewlanin* będzie wreszcie z polaków zadowolony. Tymczasem — o miłosierne nieba!— w owym zakładzie wykrył on nową „intrygę jezuicką.“ „U jezuitów w Tarnopolu — pisze ten *intrasigeant* — zaledwie 8 mil od granicy, kształci się 50 uczniów, których rodzice mieszkają w Rosyi i są poddanymi rosyjskimi. Rzecz *prosta*, że tym język wielkorosyjski *przyda się*, jest nawet *konieczny* i nie na kogo innego liczyli też jezuici, zapowiadając wykłady tego języka w Chyrowie.“ Jeśli to „rzecz prosta,“ jeśli rodzice mieszkający w Rosyi uważają język rosyjski dla swych dzieci za „konieczny,“ czegoż jeszcze *Kijewlanin* chce? Czego? Chce być „nieprzejednanym.“ *Wiek* słuszną robi uwagę, że jeśliby w Chyrowie wykluczono ze szkoły język rosyjski, dziennik kijowski byłby również niezadowolonym. Gdyby utonął w polskiej rzece, należałoby go, jak ową przekorną żonę z bajki szukać pod wodą. Warto zapytać: co mają zrobić zamożni rodzice z dziećmi, dla których zbrakło miejsca w szkołach krajowych? Jeżeli tylko *Kijewlanin* podejmie się otworzenia wstępu do gimnazyum każdemu chłopcu, ręczę mu, że zakłady w Tarnopolu i Chyrowie stracą swoich wychowańców z Cesarstwa i Królestwa. Zostawić naszych dzieci bez nauki w żaden sposób nie możemy, gdyż naprzód jest ona im potrzebna, a powtóre nic nam nie ręczy, że nawet prostactwem dogodzilibyśmy *Kijewlaninowi*. Odkryłby on w niem taką samą „intrygę,“ jaką odkrywa dziś w uczeniu się języka rosyjskiego.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Narada rolników. — Abdykacya ziemiańska. — Drogi wyjścia. — Ideał włościanina. — Stosunek rabinów do handlu. — Straż karczemna i nowy rodzaj kontrabandy.

Nareszcie dowiemy się czegoś pewnego o środkach podźwignięcia upadającego rolnictwa (czytaj: własności większej) w kraju. Przed półtora rokiem Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu rozesłało do obywateli ziemskich kwestyonaryusz, złożony z pytań, w części humorystycznych (jak np.: o wpływie przekopania międzymorza Panama na cenę pszenicy polskiej i t. p.)— w znacznej zaś części rozsądnych i poważnych. Z 1800 zapytanych odpowiedziało tylko 65 wybranych, w liczbie których znalazło się jednak sporo oryginałów. Ci ostatni na zabawne pytania odpowiedzieli rozsądnie, na poważne zaś — humorystycznie. W swoim czasie zapoznamy czytelników z kilkoma wybitniejszymi okazami obywatelsko-ziemskiej logiki i mościdobrodziejskiej socyologii, dziś zaznaczamy tylko, że odpowiedzi wszystkie zebrano, uporządkowano i już w formie gotowych wniosków poddano pod obrady delegacyi rolnej. Zebranie to, złożone z członków V-tej sekcyi Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu, oraz 100 mężów i młodzieńców zaufania, przystąpiło do pracy, dzieląc się na mnóstwo komisyj, dlatego zapewne, żeby jak najwięcej mężów zaszczycić tytułem przewodniczącego, obiecujących zaś młodzieńców odznaczyć mia-

nem sekretarzów. Pomijając tę stronę delegacyi, wyznać trzeba, że wnioski, nad którymi obraduje, poruszają wiele spraw ważnych. Szkoda tylko, że wszystkie prawie projekty mają tę wspólną cechę, iż urzeczywistnienie ich nie zależy od działalności zbiorowej lub osobistej, ale wymaga poparcia władzy. Członkowie Towarzystwa i zaproszeni ziemianie mogą wprawdzie twierdzić, że wszelkie pożyteczne dla rolnictwa wnioski pozyskają uznanie, ponieważ jednak rząd oprócz popierania rolnictwa ma wiele innych jeszcze zadań, które uważa za pilniejsze, kto wie, czy życzenia delegacyi nie pozostaną na długo jeszcze — pobożnemi. Kilkakrotnie zwracaliśmy już uwagę na szkodliwość zachcianek protekcyonistowskich w przemyśle, obecnie zaznaczamy, że i rolnicy zaczynają hołdować coraz bardziej temu prądowi. Już w odpowiedziach na kwestyonaryusz domorośli ekonomiści domagają się od rządu „radykalnej zmiany stosunków gospodarczych,“ rozumiejąc pod tym frazesem po prostu opiekę nad własnością większą. Należy więc wyjaśnić sobie, że jeżeli kiedykolwiek jakikolwiek rząd zdecyduje się na „radykalną zmianę stosunków gospodarczych,“ to z pewnością przeprowadzi ją nie w tym kierunku, w jakim życzą sobie przedstawiciele przywilejów społecznych. Doprawdy nie rozumiałbym logiki tych ludzi, którzy powstawali lub powstają jeszcze przeciw uwłaszczeniu chłopów, którzy rozwiązanie sprawy czynszowniczej uważają za „niewłaściwe wkraczanie władzy państwowej w sferę stosunków prywatnych,“ którzy potępiają ograniczenie pracy kobiet i dzieci, a jednocześnie żądają uregulowania najmu robotników, zakazu pasania bydła w nocy, przymusowego zniesienia służebności itd., nie rozumiałbym — powtarzam — tej logiki, gdybym nie wiedział, że wszystkie te sprzeczności godzą się w syntezie własnego interesu. Pojmuję i uznaję rolę państwa w dziedzinie stosunków ekonomicznych, ale nie mogę pojąć, jakim sposobem rząd w dzisiejszym ustroju, opartym na przeciwieństwie interesów, potrafi dogodzić wzajemnie wyłączającym się dążeniom. Przecież oprócz rolników są jeszcze przemysłowcy, kupcy i inni przedstawiciele kapitału, są wreszcie całe masy robotników najemnych. Jakże tu dogodzić jednym, kiedy ta względność obrazi lub skrzywdzi innych? Weźmy za przykład chociażby politykę celną. Dla ludności rolniczej korzystnem byłoby zaprowadzenie wolnego handlu, bo gdyby nawet cła odwetowe nie zostały zniesione, rolnik kupowałby znacznie taniej, niż obecnie potrzebne mu przedmioty. Przemysłowcy znowu pragnęliby dzisiejsze cła podnieść jeszcze i uczynić je wprost zakazowemi. Sprzeczności takich znaleźć można daleko więcej, rząd winien je łagodzić, ale nie zaostrzać, usunąć zaś ich nie jest w stanie, nie zmieniając zasadniczych podstaw ustroju społecznego.

Odwołaniem się do opieki i zaniedbaniem zbiorowych lub osobistych środków ratunku właściciele ziemscy podpisują sami sobie świadectwo ubóstwa i niedołęstwa. Nie wchodzę w danym wypadku w roztrząsanie, czy działalność ich a nawet istnienie korzystnem jest lub potrzebnem tylko dla ogółu społeczeństwa, staję po prostu na stanowisku większej własności. Pojmuję obronę swych interesów w najbardziej ostrej formie, pojmuję wyłączność stanową, zmowy, dążenia wsteczne, wyzysk jawny i ukryty, pojmuję walkę zaciętą samolubstwa z wymogami etycznemi — można nazywać objawy te wstrętnymi, można im przeciwdziałać, potępiać, ale nie podobna nie przyznać, że będą to objawy żywotności, siły, która ani zrzec się swego stanowiska, ani umierać nie chce. Ale domaganie się protekcyi w takich razach, kiedy własne siły wystarczyć powinny, nazwać muszę przyznaniem się do własnej niemocy, żebraniną, której człowiek lub stan zdrowy i silny wstydzić się powinien. Abdykacyę tę większej własności, dobrowolną i jawnie wyrażoną zapisujemy do księgi rachunków społecznych.

Pp. obradujący nad sposobami wyjścia z dzisiejszego przesilenia zwrócić powinni uwagę na artykuł, pomieszczony w ostatnim numerze *Gazety rolniczej*. Autor jego słusznie powiada, że nonsensem jest mówić o nadprodukcyi środków pokarmowych (zboża, mięsa, nabiału itd.), kiedy olbrzymia większość ludności nie może odżywiać się odpowiednio do potrzeb organizmu. „Sztuczna, a w rozmaitych polityczno-ekonomicznych widokach wyzyskiwana organizacya społeczna sprawiła, że zaledwie mała tylko cząstka rodu ludzkiego odżywia się normalnie. Większość wegetuje z dnia na dzień, nikczemnieje rasowo z pokolenia na pokolenie, a większością tą jest właśnie cała masa pracującej ludności. „Łudzimy się, że u nas lepiej jest pod tym względem niż gdzieindziej, ale nie podobna zaprzeczyć, że i „w naszym kraju rolniczym ludność wiejska w licznych wypadkach miejsca i czasu łaknie chleba, powszechnie zaś ogranicza konsumcyę mięsa.“ Całym szeregiem argumentów autor usiłuje stwierdzić zdanie, że postęp cywilizacyi „polega na dążności do wyrównania poziomu społecznego odnośnie do odczuwania wyższych potrzeb i możności ich zaspokojenia“ i dochodzi wreszcie do wniosku, że *„produkcyi rolniczej nie należy gruntować na kategoryi sztucznych potrzeb, ale wypada szukać dla niej trwałej podstawy w obsługiwaniu wielkich mas pracującej ludności.“*

Nie wdając się w teoretyczne wywody, autor wspomnianego już przez nas artykułu w *Gazecie lubelskiej* podaje w dalszym ciągu praktyczne środki ocalenia. Oblicza on np., że w majątku, przyjętym za podstawę rachunku, znajduje się przedmiotów nieprodukcyjnych: karet, koni cugowych, sreber, klejnotów, mebli kosztownych itp. na 12,000 rubli, co stanowi 12% wartości dóbr. Sprzedaż tych przedmiotów zbytku pozwoliłaby spłacić część długów i zmniejszyć znacznie wydatki. W majątku przytoczonym oszczędność taka zwiększyłaby dochód o 4,000 rubli. Wobec tych cyfr wszelkie głosy o przesileniu i przyczynach upadku własności większej umilknąć winny.

Mieliśmy już ideał wzorowego ziemianina, wynaleziony przez *Wiek* i ideał wójta, uwieczniony w *Gazecie polskiej*; obecnie *Gazeta świąteczna* daje znowu żywot wzorowego włościanina, niejakiego Wylamka. Kronikarz *Dziennika łódzkiego*, który osobiście znał nieboszczyka, powiada, że ten pod żadnym względem nie zasługiwał na odznaczenie. Rzeczywiście sądząc z tego, co pisze *Gazeta świąteczna*, Wylamek był, co najwięcej, porządnym gospodarzem. Oto jego zasługi: „matce kupował odzież, siał koniczynę i własnej paszy miał dosyć, bydłu dawał jeść cztery razy dziennie, wozy trzymał w szopie, błota nie cierpiał, więc wybrukował podwórze“ i „gdyby jeszcze ze 30 lat pożył, pewnieby do dużego majątku doszedł.“ *Gazeta świąteczna*, drukując życiorys Wylamka, nie zastanowiła się zapewne nad tem, co czyni, nie zrozumiała, że apoteozą takich powszednich, gospodarskich zasług obniża w czytelnikach swoich poziom ideałów moralnych, że krzywdzi lud polski, wskazując mu wzory, które on w całej masie swojej dawno już przerósł. Wymagać od chłopa, żeby on był tylko dobrym gospodarzem i wypełniał najprostsze obowiązki rodzinne — to znaczy poniżać go; bo przecie jest on również obywatelem kraju, członkiem gromady i gminy, przedewszystkiem zaś jest człowiekiem, którego ideały moralne i społeczne nie ograniczają się tylko na zbieraniu majątku i wybrukowaniu podwórza. Oto chociażby fakt, który opowiada *Gazeta kielecka*. We wsi Księżnicach spłonął dom, w którym mieszkały dwie rodziny, gospodarz Baran i chałupnica Gadawska, staruszka osiemdziesięcioletnia z córką i wnukami. Sąsiedzi przytulili u siebie pogorzelców, żywili ich darmo, a nie przestając na tem, postanowili odbudować dom. Baran kupił drzewa, wdowie dopomogli włościanie, zbiorowemi siłami wznieśli ściany, postawili krokwie i poszyli dach. Z całej wsi znoszono kitki słomy, ci, którzy nie mieli gotowych snopów, dawali nieomłócone żyto. Pomimo kilkunastostopniowego mrozu włościanie żwawo ukończyli robotę i dwie rodziny znalazły znowu dach nad głową. W sąsiedniej gminie zdarzył się zeszłego lata podobny fakt pomocy braterskiej. Jeden czyn taki stawi wyżej każdego z uczestników, aniżeli długoletnie zasługi Wylamka, który „pewnieby doszedł do dużego majątku.“

W Łodzi mieszka znowu ideał izraelity. Zabiegliwy ten człowiek martwił się, że nie może handlować w sobotę, wreszcie wynalazł odpowiedni środek, ażeby nie obrażając przepisów religii, powiększyć swój dochód. Przypuścił on do wspólki chrześcianina, który sprzedaje towar w szabas. Przeciwko temu pomysłowi zaprotestował rabin i biedny izraelita, który od razu pragnął służyć Bogu i mamonie, zmuszony jest stanowczo oświadczyć, czy będzie święcił dzień sobotni, czy nie.

Względniejszym daleko dla handlu jest rabin w Sosnowicach, gdyż niedawno właśnie straż pograniczna znalazła w synagodze miejscowej cały skład towarów przemycanych.

Kontrabanda niemiecka przybiera rozmaite postacie. W powiatach nadgranicznych specyalni agenci rozrzucają taką oto odezwę: „Do uwagi wywędrowniki. Ta karta musi kazny na Bahnhofie w Hamburgu w ręce trzymacz albo na kapilusza przylepić. Jeden od moich ludzie, który zawsze na bahnhofie jest, do kwartira pokaże i mu we wszystkiem z radą i czynem służyć będzie. Na podrożu do Hamburgu trzeba od obsich ludzi Adreskarti nie wziąć i ta karta na żaden sposób nie od ręce daje.“ Czy też nie ma żadnej straży niebieskiej lub ziemskiej, któraby tego rodzaju kontrabandy nie puszczała?

J. Nieborski.

PRASA ROSYJSKA.

Swiet pisze:

„W ostatnim zeszycie miesięcznika *Siewiernyj Wiestnik* znajdujemy trafny pogląd na stosunki rosyjsko-polskie i na krucyatę księcia Bismarka przeciwko polakom. Wschodnie prowincye pruskie, według zdania autora artykułu, stanowią tę część Polski, wpośród których gromadzą się najzdrowsze żywioły narodowości polskiej. Kiedy w tak nazwanej Małej Polsce, w Galicyi i na Mazowszu, gnieździli się i rozwijali magnaci i panowie, Wielko-Polska była w ciągu długich lat ogniskiem polskiego włościaństwa i inteligencyi polskiej. Po przyłączeniu do Prus, prowincye te dały się pierwiastkowo zniemczyć w wysokim stopniu; ale w latach ostatnich można zauważyć korzystny już zwrot pod tym względem. Zwrot ten nie bez racyi ściągnął na siebie uwagę żelaznego kanclerza. Poznań przy wyborach odzyskał obecnie swoją większość polską — a w tak zwanych nawet Prusach Wschodnich widocznem jest wzmożenie się polaków, z którymi łączą się litwini tamtejsi. Mazury pruskie, protestanci i wrogowie szlachetczyzny, uważający się zawsze za najwierniejszych poddanych niemieckich, nic a nic zgoła nie stracili ze swego typu polskiego. Ale rzetelnem oparciem dla polaków pruskich mogą być jedynie polacy rosyjscy. Społeczność też rosyjska może i obowiązaną jest podtrzymywać polaków pod pewnemi warunkami, których osiągnię-

cie jest jak najzupełniej możliwe. Nie tak atoli nazwanego „primirenja“ potrzeba rosyanom szukać w Polsce rosyjskiej. Z interesami panów, z ideałami szlacheckimi, marzącymi o Rzeczypospolitej czyli z taką szlachecką Polską Rosya nie może ani się jednać, ani się wdawać. Ale w Polsce, a zwłaszcza w Polsce rosyjskiej, jest już cztery miliony obywateli-włościan, są już ujawniające się, lubo jak dotąd słabo— nieszlacheckie wśród inteligencyi dążenia i interesy. Gdyby tym interesom udało się zorganizować stosowną siłę kierowniczą, to dla narodu polskiego otworzyłyby się nowe a szerokie horyzonty, nietylko dla Rosyi nieszkodliwe. ale owszem pożądane i sympatyczne.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Rozporządzenie. Egzaminy kandydatów, pragnących otrzymać świadectwo z całkowitego kursu szkół realnych, odbywać się mogą w r. b. tylko w Łowiczu i Włocławku. W Warszawie zaś składać będą egzamin wychowańcy zakładów prywatnych pp. Pankiewicza, Górskiego i Babińskiego.

Towarzystwo techniczne. W Dąbrowie zawiązuje się filia towarzystwa technicznego petersburskiego.

Szkoły. Gimnazya męskie i żeńskie otwarte będą w Łodzi od wakacyi. W pierwszym roku gimnazyum męskie otrzyma tylko 4 klasy.

Produkcya nafty w Rosyi wzrasta olbrzymio. W r. 1874 otrzymano zaledwie 5,200,000 pudów, w 1881 r. już 40,500,000, w 1882 — 50 milionów, a w 1883 — 60,400,000 pudów. Natomiast wyrób nafty stoi na bardzo niskim poziomie, z nieoczyszczonego bowiem oleju skalnego otrzymuje się zaledwie 33% nafty.

Produkcya fabryczna w Warszawie w roku 1885 w porównaniu z rokiem 1884-tym zmniejszyła się o 2,800,000 rubli i przedstawiała wartość 28,800,000 rs. Z oddzielnych gałęzi przemysłu najbardziej ucierpiały fabryki machin i narzędzi, 3 z nich zamknięto, inne zaś musiały znacznie ograniczyć wyrób.

Towarzystwo oficyalistów prywatnych w Galicyi posiada już dziś 392,793 zlr. majątku i udzieliło w r. z. wsparć na sumę 143,960 zlr. My zaś dotychczas nosimy się tylko z projektem.

Nowoje Wremia. Pod tą nazwą otwarty został szynk w Kijowie, właściciel którego tem się różni od prototypu, że bardzo chętnie przyjmuje polaków i żydów do swego zakładu.

Akcyza od cukru w całem państwie przyniosła za kampanię 1884/5 r. 15,285,121 rubli, z tej sumy na Królestwo wypada 3,177,765 rs.

Muzeum. W gronie osób zamożnych podjęty został projekt utworzenia w Warszawie muzeum archeologiczno-etnograficznego.

Prasa polska. *Gazeta narodowa* przeszła na własność p. Liberata Zajączkowskiego, redaktora *Szczutka*.

— Oprócz *Pszczoły*, którą— jak pisaliśmy — wydawać będzie dyrektor Muzeum na Koszykach, p. Lewicki, wychodzić ma w Warszawie również *Gazeta pszczelnicza* pod redakcyą ks. Jakubowskiego. To już prawdziwie dwa grzyby w barszcz.

— Redakcyę *Świtu* od 1 kwietnia obejmuje pani Marrené.

Prasa włoska przechodzi ciężkie chwile. W 1885 r. wszystkie znaczniejsze dzienniki, jak: *Opinione*, *Riforma*, *Liberta*, *Rassegna*, *Tribuna* miały deficyt od 30 do 150,000 franków.

Własność chłopska w Poznańskiem daleko mniej jest zgermanizowaną, aniżeli większa, czyli t. zw. rycerska. W obwodzie poznańskim polacy włościanie posiadają 434,100 hektarów, niemcy 195,000, w bydgoskim pierwsi 221,600, drudzy 204,000, słowem polacy posiadają 62% drobnej własności ziemskiej, gdy wśród większej własności tylko 45%. Najlepszą więc odpowiedzią na projekty kolonizacyjne byłaby parcelacya obszarów dworskich, wtedy może własność polska przestałaby być „kurczyć.“

Nowy pierwiastek chemiczny odkrył prof. Winkler w Freibergu, należy on do grupy węgla. Prof. Mendelejew już przed 15 laty określił jego miejsce i niektóre własności na zasadzie swego systematu. Odkrycie nowego pierwiastku, który otrzymał nazwę *germanium*, podobnież jak poprzednie odkrycie *gallium* i *scandium* potwierdza w zupełności teoryę Mendelejewa.

Liczba niewidomych w Europie ma wynosić około 300,000 osób.

Sprzedaże. Kijowski bank ziemski wystawia na sprzedaż 112 majątków obszaru 120,157 dziesięcin w t. zw. guberniach południowo-zachodnich.

Statystyka. W końcu r. z. liczono w Warszawie 38,264 rzemieślników, w tej liczbie 5.346 majstrów, 12,964 czeladników i 19,954 uczniów, w porównaniu z rokiem poprzednim więcej o 2,246. Wartość wyrobów rękodzielniczych obliczają na 31,818,200 rubli, tj. o 300,000 więcej, aniżeli w r. 1884.

Zmarli. Hipolit Błotnicki, filolog, niegdyś nauczyciel J. Słowackiego.

— Juliusz Hetzel, sławny wydawca francuski.

— J. Wackernagel, redaktor *Basler Nachrichten*, pisał wiele o literaturze naszej i przetłomaczył kilka utworów polskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wł. Podl. Obszerniejszy rozbiór całej działalności pisarskiej Chmielowskiego zamieścimy wkrótce; tam pan znajdzie ocenę i ostatniej jego pracy. Prus — potem.

P. L. K w Warszawie. Nie wiemy — prawdopodobnie do min. skarbu.

N. N. „Szkic“ Pański nie dla nas.

Stał. czyt. „Prawdy.“ Pozwolenia nie trzeba. Nietłomaczone.

P. K. B Tom V Niemcewicza już wysłany z Krakowa; prawdopodobnie odbierzemy go w przyszłym tygodniu.

P. M. Zn. Ów p. Ildefons Kossiłowski — jak się dowiadujemy ze źródła pewnego — jest rodem ze Żmudzi. W r. 1849 wyjechał do Londynu z Rustejką. Wkrótce stamtąd zabrał go dr Gałęzowski do Paryża i zrobił sekretarzem szkoły polskiej na Batignolles. Gdy w r. 1854 Wład. hr. Zamojski ze swym wujem ks. Adamem Czartoryskim utworzyli z biednych emigrantów dywizyę kozaków sułtańskich za pieniądze angielskie, Kossiłowski mianowany został jej kapitanem. Podobno ma on obecnie plantacye tytoniu w Turcyi, a niewątpliwie jest naczelnikiem „Biura wywiadowczego“ w Paryżu. Burza losu go topiła — ale on, jak korek wypłynął.

P. Ig. Lip. Myśl praktyczna, ale rytm niezawsze prawidłowy, wyrażenia niezawsze szczęśliwe („mrok się *zaćmi*“), obrazowanie zbyt jednostajne (kilkakrotnie: „pustkowia — ciemnie“).

P. M. L. w Bast. Za przesyłkę Krasickiego należy nam się kop. 40.

P. Kazim. Jan. w Lank. Rs. 2 k. 50; tym sposobem lepiej nabyć całe dzieło.

P. A. B. Książka Schippla kosztuje bez przesyłki k. 90.

P. A. Zal. w Tokarach. Po strąceniu należności za zeszyt II, pozostaje panu na kw. III rs. 2.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Walery Fohrenholc rs. 3, J. W. z Płocka rs. 5, Jadwiga i Halinka K. rs. 10.

Dla pogorzelców Grodna. J. W. z Płocka rs. 5.

Dla biednych. M L. rs. 3.

Dla polaków wydalonych z Prus. S. Br. rs. 15, W. Hr. rs. 10, E. Hr. rs. 5, W. Drz. rs. 3, P. Drz. rs. 1, S. Prz. rs. 1, K. Prz. rs. 1, A. Ji. rs. 1, F. Ta. rs. 1, A. Cz. rs. 2.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Марта 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.